ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty trzeci.

KOMEDJANCI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

......wszyscy na teatrze...
Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi...
FREDRO. Przyjaciele.

Totus mundus agit histrioniam....
PLAUTUS.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Tom III.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.
1873.

WARSZAWA
W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

Jedną ze scen najciekawszych wielkiej komedji życia, jest komedja ożenienia: na ileto sposobów odegrywa się ona, jak różnie poczyna i kończy, z jak dziwną rozwija rozmaitością, jak niespodziewanym zamyka epilogiem! Zdaje się, że do sądzenia o stanie społecznym dosyć jest termometru małżeństw; statystyka ożenień daje najlepsze wyobrażenie o stopniu moralności klasy narodu. Rozumiem chłopka, który spytać serca nie ma czasu, który potrzebuje robotnicy, żony, matki, dwojga rąk silnych do zamieszenia powszedniego chleba i żeni się z pierwszą jaką spotka na ulicy; ale nie pojmuję w dostatniejszych i cywilizowańszych klasach monstrualnych połączeń, którym interes tylko i pieniądz dają błogosławieństwo. Jeżeli kiedy, to dziś rachuba tak dalece przewodniczy większości związków, że na dziesięć, nie wiem czy jedno od niej wolne, a sześć pewnie najbezwstydniej jest przedajnych. Jest to poprostu targ, w którym się sprzedaje wszystko: młodość, tytuł, piękność, stosunki, fortuna, wychowanie, talenta, w oczach całego świata i bez najmniejszego sromu. Znaleźli się nawet moraliści i dwóch już ich naliczyć możemy, którzy dowodzą, że w małżeństwie

najniepotrzebniejszą i szkodliwą nawet przyprawą jest miłość, że bez niej nie tylko się obejść potrzeba i godzi, ale że tego wymagają prawa moralności!! Dosyć jest według nich, by starsi wyrzekli: para dobrana, a para dobraną będzie. Dla tych panów serce nie istnieje, uczucie jest jakąś aberracją, obłędem, a dwoje ludzi, jak dwoje bydląt, zawsze muszą być zdatni do małżeństwa. Paradoks ten szczególny ogłoszono nam w imię obyczajów staro-szlacheckich i zasad wiary, i kazano mu się pokłonić. Wydrukowano go czarno na białem *); a że to dziwactwo niedorzeczne wygląda jakoś nowo, gotowe się utrzymac na czas jakiś, bo gruby i dziki fałsz rychlej przyjęty zostanie przez skłonnych do potakiwania, niżeli zwykła mieszanina prawdy i kłamstwa, nie pociągająca urokiem hypotezy i nie durząca fizjognomią oryginalną.

W praktyce życia nie przyznajemy się do zasady niemoralnej, spełniając czyny najniemoralniejsze nawet; i owszem, kłamiemy przed sobą jakąś cnotą i pobielamy nią występek. Tak i w małżeństwach choć skrytym powodem, najczęściej bywa brzydki interes i podła chętka nabycia grosza cudzego. Kandydaci do stanu małżeńskiego umieją lisy farbować: ten się poświęca dla rodziców i rodziny, ów dla dźwignienia podupadłego imienia, inny gra rolę rozkochanego, inny jeszcze zaprzecza, żeby mieć można serce i ubóstwia rozsądek, w imie jego spełniając podłość, a koniec końcem jak w domu obłąkanych, każdy utrzymuje, że jest sam jeden przytomnym, zdrowym, czystym, i nikt nie przyzna się do winy, choć doskonale w drugich ją wytyka.

Patrząc z boku, widzimy jak na dłoni spełniające

*) M. Grabowski i Zygm. Kaczkowski.

się frymarki wszelkiego rodzaju, tak jawne, tak wyraźne, że najślepszego uderzają w oczy; tymczasem każdy z tych kontrahentów gdy się spytasz o jego robotę, tak ci się z niej tłumaczy, jakby się za nią wieńca i palmy spodziewał.

Rzuciliśmy właśnie w pierwszej części powieści naszej bohaterów kilku, zabierających się do stanu małżeńskiego, i prawie w progu kościoła: piękną Franię narzeczoną Wacławowi, piękną Cesię mającą wychodzić za marszałka Farureja, i pięknego Sylwana marzącego o krociach, jeśli nie o miljonach przyszłej małżonki, której wszystkie przymioty jednoczyły się w szkatułce. Sylwan wobec groźnych majątkowych powikłań, codzień mocniej zamyślał się o ożenieniu i głębiej przejmował potrzebą przedaży towaru młodości, piękności swej, dowcipu, wychowania, imienia. Często całe dnie zanurzony w fotelu, z cygarem zgasłem w ustach, naprzeciw wielkiego siedząc zwierciadła, rozbierał sam swe przymioty, i żadna niewolnica kaukazka wieziona na targ do Konstantynopola nie liczy tak swych lat, wdzięków i prawdopodobieństwa dostania się do haremu sułtana lub wezyra, jak Sylwan rachował miljony, które powinien był zdobyć w zamian za dary, jakiemi był uposażony, któremi się pysznił w duchu. — Jestem młody, krew z mlekiem, piękny, dystyngowany, wychowany jak najlepiej; mam imię, mam tytuł, mam majątek, mam dowcip, umiem się znaleźć, tchórz nie jestem: czegoż mi braknie? Mogę się dobijać o rękę księżniczki S..., hrabianki P..., o kogo mi się podoba... Nie rozumiem, żeby mi śmiano odmówić! Wszakże, (dodawał) ten ślamazarny X... ożenił się z dwumiljonową dziedziczką, choć ze mną w żaden sposób mie-

rzyć się nie może; wszak F... pochwycił na Białej Rusi 5000 dusz bez grosza długu, choć nawet po francuzku mówiąc, tysiące grubych robił omyłek; a ja! a ja!! czegoż ja mam prawo się spodziewać??

Tym zwykle wykrzyknikiem kończyły się marzenia Sylwana, codzień silniej farbujące się rzeczywistością. W końcu młode hrabię przekonało się, że mu nie pozostaje tylko wyekwipować się przyzwoicie, i w świat pojechać po owe złote jabłuszko, które samo powinno mu się było stoczyć pod nogi.... Wspomnieliśmy już w pierwszej części, że dla spóźnionej pory Sylwan nie mogąc do wód, wprost ruszył do Warszawy, gdzie o kilku bogatych z Wołynia i Podola dziedziczkach słychać było; aleśmy pozostawili szczegółowy opis tej wyprawy na później, i teraz dopiero dajemy go czytelnikom.

Sylwan miał się oprócz innych niezliczonych przymiotów, za bardzo zręcznego intryganta, za człowieka co myśl raz powziętą spełnić potrafi bądź co bądź; jego zabiegi około Frani wcale go z błędu nie wywiodły. Dziewczę proste, głupiuchne, niewinne, wychowane na wsi, ani się liczyło tu nawet, i Sylwan miał się za słusznie ukaranego za to, że się ku niej zniżył. W tym światku musiał go spotkać zawód, bo sfera nie była mu właściwa, wyobrażenia inne, ludzie obcy, ale na świecie wyższym, wśród swoich nie wątpił, że zaćmi wszystkich i zwycięztwo otrzyma. Żaden rycerz na wyprawę krzyżową tak się starannie nie wybierał, jak on na tę małżeńską wycieczkę.

Z zimną krwią gotując się zwyciężyć (a broń Boże nie zginąć), począł od wyrobienia sobie paszportu, metryki, świadectwa że nie był żonaty, papierów poświad-

czających stan majątkowy ojca (w których ani o konfiskacie klucza Słomnickiego, ani o wydziale Palnika dla Wacława wzmianki nie było); uzbroił się w tysiąc dukatów, które stanowiły stawkę gry, w koczyk nowy wiedeński, kamerdynera z wąsami blond i z pierścieniem ogromnym na palcu, w przepyszną tualetę i elegancje męzkie umyślnie wypisane z Odessy, lokaika, kucharza, cztery konie najpiękniejsze jakie w stadzie się znalazły, uprząż wiedeńską, kupioną u rotmistrza Powały i t. d. i t. d. Dowodem być może, z jaką przebiegłością na wszystko co go spotkać mogło, przygotowywał się Sylwan, że nawet w wyborze biblioteczki podróżnej miał wzgląd na różne odcienia opinii, o jakie się mógł otrzeć w tej wyprawie. Był w niej oddział gorąco-katolicki na wypadek, gdyby panna należała do czytelniczek *l' Univers* lub zwolennic ks. Lacordair'a; było kilkanaście prób literatury szalonej, jeśliby trafił na jaką Cardoville; był Michelet i Quinet dla filozofki, była p. Sand dla zapalonych główek, było i kilku krajowców w odwodzie, jeśliby, czego się nie spodziewał Sylwan, panna lubiła literaturę domorosłą. Książki te z kolei miały występować na stoliczku jego i nadawać mu potrzebny koloryt harmonijny, z barwą domu zgodny. Inne zapasy z równą starannością obrachowane zostały, gdyż Sylwan z góry sobie zapowiedział, że się ożenić musi, i że rolę jakiej ożenienie wymagać po nim będzie, odegra. Nie popisywał się jednak przed nikim z temi środkami pomocniczemi, ażeby nie wydać się z tem, że samemu sobie mało ufa i czuje ich potrzebę; jeden ojciec zobaczył zdala bagaże i uśmiechnął się do siebie, zacierając ręce:

— Krew Denderów nie kłamie! cha! cha! zuch mi

chłopiec, zuch: da sobie rady, spryt szczególny! — Jednakże nie wydał sie z tem ojciec że widział wszystko, a w przeddzień wyjazdu tylko uczuł potrzebę rodzicielskich rad na drogę udzielić.

— Mój kochany hrabio! — rzekł, gdy oba w pokoju starego zasiedli — samiśmy, pomówmy sercem otwartem, szczerze, bez obwijadeł... Dorósłeś, nie jesteś dziecko, możemy być z sobą nie jak syn z ojcem, ale jak przyjaciel z przyjacielem... Nie mam dla ciebie tajemnic, ty ich dla mnie mieć nie powinieneś...

— To też ich nie mam — odparł Sylwan, wyciągając się na kanapie zupełnie po przyjacielsku — i mówię otwarcie, że jadę się żenić, a żenić nie inaczej, jak bogato: powrócę miljonowym!

— To cel! nie spuszczajże go z oka i wszystko do niego zastosuj! — poważnie, po mentorsku dodał stary. — Odrazu potrzeba ci się rzucić w jak największy świat, ku czemu posłuży kilka znajomości i listów moich... Nie głoś wcale, że masz ochotę się żenić: nic tak nie odstręcza, jak podobne wyznanie; owszem, mów przy zdarzonej zręczności, że ojciec jest przeciwny wczesnemu twemu postanowieniu, że ma projekta na ciebie... Zręcznie wyliczaj majątki, syp złotem gdzie potrzeba, ale nie bądź rozrzutnym. Nazywaj mnie skąpcem, i daj się domyśleć, że sam masz żyłkę do tego...

— Ale kochany hrabio! — przerwał zniecierpliwiony Sylwan — proszę mi wierzyć, że sobie dać rady potrafię... Nie jestem dziecko: plan mam gotowy...

I uśmiechnął się zawczasu zwycięzko.

— Ja nie wątpię, że sobie poradzisz we wszelkim wypadku — rzekł stary Dendera — przecież ojcowskie życzliwe przestrogi także się na coś przydać ci mogą,

wierz mi mój kochany!...

Sylwan zamilkł, ale wyraz jego twarzy zdawał się powiadać, że nikt w świecie skuteczniej mu nad niego samego nie poradzi.

— Co się tyczy majątku — mówił dalej Zygmunt-August — potrzeba być jak najostrożniejszym... Ludzie się stroją w miljony fałszywe, jak kobiety w podrabiane brylanty: nie ich samych, ale jubilerów pytać o nie potrzeba...

— Znajdziemy i jubilerów — rzekł uśmiechając się i gładząc wąsika Sylwan.

— Na mniej jak ostatecznie pół miljona, nie daję ci błogosławieństwa -- dokończył stary. — Młody człowiek taki jak ty, daleko więcej wziąć powinien...

— Ja się też pół-miljonem zadowalniać nie myślę, chybabym się zakochał! — wykrzyknął Sylwan.

— Nie spodziewam się, żebyś zrobił to głupstwo — rzekł ojciec. — Zostaw to na później, lub obróć jak chcesz sentyment, ale go do małżeństwa nie mieszaj... Najlepsze stadła tworzą się rachubą, wierzaj mi; najgorsze klei miłość, to dziś pewnik z przeszłości wzięty. Głupi tylko sentymentaliści trzymają inaczej.

— Byleby pieniądz! — dodał młody — wszystko zań sobie na tym zepsutym świecie kupić można.

— Nawet poczciwość! — rzekł stary. — Znałem łotrów, co rozbijali całe życie, alé że im szczęście sprzyjało, na pogrzebie stawiono ich za wzory cnoty i poświęcenia. Pan X. naprzykład, co miljony na podradach zrobił, nazywał się dobroczyńcą kraju; pan F. co procesami wypieniał wsi kilkanaście, jedną z najpotężniejszych intelligencyj praktycznych naszych czasów; pan M. co zgniłe sukna swoich fabryk prowadził na

targi, twórcą krajowego przemysłu, i t. p.

Sylwan niebardzo słuchał, podśpiewywał, ale ojciec troskliwy wciąż mu w tym rodzaju naukę moralną kładł w uszy: nareszcie przyszli do szczegółów wyboru, a gdy się okazało, że młode hrabię o niczem nie zapomniało, co tylko do osięgnienia wielkiego celu posłużyć mogło: stary Zygmunt-August Dendera z radością uściskał godnego swojego następcę.

Nazajutrz rano stanęły ekwipaże przed mieszkaniem Sylwana: koczyk jak z igły, szarabanik prześliczny, konie jak lalki, uprząż choć do miasta; i nic nie było do zarzucenia, chyba zbytek staranności temu przyborowi konkurenta. Wszystko w nim zdradzało człowieka wielkiego majątku, przywykłego do wygód, nie oglądającego się na wydatek, i umiejącego w najmniejszej rzeczy dowieść wrodzonego, wyssanego z mlekiem smaku... Sylwan uśmiechał się do przyszłości, i napędzał tylko ludzi, by co najprędzej rozpocząć tę pogoń za miljonami, która go do celu upragnionego, do żywota próżniaczego, do zbytków i przepychu, do wesołego użycia młodości doprowadzić miała....

Już konie stały zaprzężone, już się nawet żegnać miano, i hrabina Eugenia przygotowywała łzy, które na rozkaz wytrysnąć miały, gdy prawie jednocześnie dwa powozy wsunęły się na pałacowy dziedziniec.

W jednym z nich poznano przybywającego Wacława, który chciał przed odjazdem Sylwana pożegnać, w drugim siedział hrabia Walski, rzadki gość w Denderowie. Zapewne go sobie czytelnicy nasi przypominają z nauk, jakie dawał Sylwanowi, kiedy się ten jeszcze pełen nadziei kręcił około Frani. Nie wiedząc o jego potajemnem ożenieniu z panną Strzembówną, w począt-

ku Cesia rzuciła nań była okiem i rachubą, ale Sylwan dał do zrozumienia jej i matce, że starania o to na nic-by się nie przydały. Zapomniano więc o hrabi, i on widać Denderowa zapomnieć musiał, bo od bardzo dawna znajomych swych nie odwiedził.

Oba powozy prawie jednocześnie zatoczyły się przed oficynę, i dwaj młodzi ludzie zbliżyli się do hrabiego i Sylwana, stojących w ganku i rozporządzających ostatkami wyboru w drogę. Wacław, który kilkaset dukatów na tę podróż dopożyczył, ażeby potrzebnego tysiąca dopełnić, miał prawo brata pobłogosławić, a zawsze grzeczny, sam przyjechał, bo nie chciał rozstać się bez pożegnania; był zaś pewien, że Sylwan raz schwyciwszy pieniądze, już do Palnika nie wstąpi.

Niespodziewani ci goście na chwilę zachmurzyli Sylwana, któremu pilno już było z gniazda na skrzydłach nadziei wylecieć; ale musiał się uśmiechnąć do Wacława, którego mógł znowu potrzebować, i do hrabiego Walskiego, bo z nim stosunki utrzymać należało. Wszyscy więc, wesoło gwarząc, weszli do apartamentu starego hrabiego, który do pałacu po śniadanie posławszy, zabierał się przed Walskim odegrywać swą wiekuistą komedję wielkiego państwa.

— Dokądżeto się Sylwan wybiera? — zapytał hrabia — bo widzę że nielada obmyślił wyprawę, i coś to na długą podróż zakrawa.

— Nic nie wiem — odparł stary Dendera.— kaprys młodzieńczy i bujna fantazja wypędzają go z rodzicielskiego domu; chce się użyć świata, pohulać, pójść pomiędzy ludzi i sypnąć trochę pieniędzy. Nic nie mam preciwko temu, *il faut que jeunesse se passe*; sam byłem młody... Dom później lepiej zasmakuje!

— Za granicę jedziesz? — zapytał Walski Sylwana.

— Nie, o paszport trudno; do Warszawy tylko, na zimę, może na dłużej, jeśli mi się podoba. Mnóstwo tam Wołyniaków, Ukraińców, Podolaków osiada, tworzy się towarzystwo miłe; są resursa dla młodego jak ja człowieka. Zachciało mi się i ruszam.

— Pozwól sobie powiedzieć — dodał Walski — że jak do miasta diable się gromadno wybierasz: konie, ludzie, powozy!..

— Juściż bez koni być nie mogę, bez wierzchowego się nie obejdę.,. No! kilku ludzi mi potrzeba...

— To ci diable kieszeń wysuszy! — rzekł Walski.

— Mówiłem mu to — z dobrą fantazją odpowiedział stary Dendera — ale hrabia chce puścić parę tysięcy dukatów między ludzi, cóż z nim zrobić?... Zresztą — dodał z pewną dumą — na to nas stało!! *je le lui accorde volontiers.*

Powiedział to, jak gdyby przed kilką dniami nie zapożyczyli się u Wacława, jakby dom w niepotrzebny zapas obfitował, z miną magnata, który rzuca nic nieznaczącą sumkę dla jakiegoś chwilowego zachcenia. Hrabia Walski uczuł niestosowność dalszej w tym przedmiocie rozmowy i odwrócił ją zręcznie.

— Zrobiłem tę uwagę Sylwanowi — rzekł — i bardzo za nią przepraszam, boć kogo na to stało, powinien groszem swym podsycać przemysł krajowy. Zazdroszczę ci Sylwanie, bo się dobrze zabawić możesz.

— Spodziewam się — dodał z uśmiechem pełnym próżności Sylwan. — No! a i ty Wacławie podobno także ruszasz do miasta?

— Być może — odpowiedział skromnie Wacław. — Uregulowanie moich interesów, ze spadku wynikłych,

potrzeby domowe, na jakiś czas może mnie także do Warszawy zapędzą.

— A to doskonale! Ja pojadę kwatermistrzem, i nim nadjedziesz, już się pewnie tak poznam z miasteczkiem, że ci będę mógł służyć za *cicerone*...

— Dziękuję! — z ukłonem rzekł Wacław. — Mam nadzieję, że się żegnamy na krótko i do zobaczenia!

Rozmowa szła tak przerywana, skacząc na różne przedmioty, gdy zamiast śniadania, które przynieść miano do oficyny, przyszedł kamerdyner oznajmić, że hrabina czekała z niem w pałacu.

Byłato robota Cesi, która zobaczywszy Wacława, bojąc się by jej nie uciekł, uprosiła matki, żeby śniadanie u nich podano.

Ostatnie jej manewra z Wacławem, jakkolwiek nieszczęśliwe, nie odebrały jej wcale nadziei przyciągnienia go jeszcze. Miała w zapasie Farureja na wszelki wypadek, ale wolała braciszka, a nadewszystko zwycięztwo nad tą Franią, której szczęście ją gniewało. Wacław był bogatszy od starego konkurenta, młody, przystojny, w sercu jej dla niego trwało jakieś nieopisane uczucie, które choć się może miłością nazwać nie godziło, pragnieniem było drażniącem, zniecierpliwionem, niespokojnem, gwałtownem. Rachowała na swój wdzięk, na dowcip, na wspomnienie lat dawnych, na słabość Wacława, na swoję umiejętność i szczęście... Nie chciała opuścić żadnej zręczności przybliżenia się do niego, uwikłania go w nowe sieci, i wybierając się do salonu, długą i ważną miała ze zwierciadłem naradę. To też wystąpiła w całym blasku, z całą zalotnością kobiety, która chce się podobać i na zdobycz czyha z gorączką zwycięztwa, z uporem młodości.

Wszedłszy do salonu, zastali matkę niemniej od córki wyświeżoną, a Cesię przy niej z minką nawpół smętną, pól-szyderską i trochę dumną, z którą, jak sądziła, było jej najlepiej do twarzy. Ubiór jej choć wiejski, choć porankowy, wielce strategicznie był obmyślany. Wiedziała że Wacław lubił kolor czarny, że w nim, jak utrzymywał, najlepiej jej było, wzięła więc szlafroczek floransowy, ożywiając go szeroką ponsową pod szyją wstęgą, do boku przypięła od niechcenia bukiecik rezedy, rączkę zamknęła w obcisłą rękawiczkę, w której się jeszcze szczuplejszą wydawała niż była w istocie, i koniec drobnej nóżki w prześliczuym trzewiczku ukazując z pod sukienki, siadła, dobrze obrachowawszy linie, które jej kibić oznaczały. Stary Dendera, który swoję rodzinę i dzieci znał tak doskonale, że się na żadnej myśli tajemnej syna i córki nie mylił nigdy, postrzegł od razu wchodząc do salonu, że Cesia miała jakieś zamiary zbrodnicze. Ale na kogo? — tego odgadnąć nie umiał.

— Filut dziewczyna — rzekł w sobie — to zapewne probować myśli Walskiego, czy go nie spokusi, bo jej Farurej nie do smaku i radaby się go pozbyć, gdyby znalazła zastępcę na jego miejsce. Uważałem że Walskiego, gdy tu był przęszlą razą, dosyć śmiało łapać usiłowala. Ha! ha! niezłaby i to była partja, choć Farureja wolę, może zaraz po ślubie z jakiego nadużycia nogi zadrzeć; Cesia mi majątek da w zarząd i interesa się poprawią.

W tej rachubie starego Dendery, który z myślami o przyszłości kręcił się około śniadania, dosyć było sprytu; ale mylił się bardzo pan hrabia, sądząc że Cesia zda mu interesa swoje. Jakkolwiek młodziuchna,

córka jego już znała i wartość pieniędzy, i przyjemności swobody, i wady ojca, i to co ją pod jego rządami czekać mogło.

Pani hrabina udawała smutek z powodu odjazdu syna z talentem niepospolitym, nadając mu barwę właściwą macierzyńskiemu niepokojowi, troskliwości rodzicielskiej, obawie o przyszłość, tęsknocie za dziecięciem. Melancholja jej była poważna, pełna zamyśleń, rzekłbyś modlitwy i namaszczenia... ale w sercu wiał wiatr próżności po pustce bez granic...

Hrabia Walski, na którego Cesia, pomimo rachuby ojca, niewiele zwracała uwagi, przysiadł się do samej pani domu; stary Dendera począł się umawiać o coś i naradzać z synem, a Cesia niedługo czekając, pochwyciła jak zdobycz sobie należną Wacława. Grzeczność nie dozwalała mu uciekać od pięknej kuzynki, a ostrożność zmuszała rozmowę prowadzić w tonie lekkim i żartobliwym, który nie dopuszczał do sentymentu i wspomnień. Cesia wszakże umiała i w tej chłodnej atmosferze umieścić to, co jej się zdawało potrzebnem. Przed wyjazdem Sylwana pochwyciła Wacława pod pozorem pokazania mu kwiatów, które teraz namiętnie jakoś lubić zaczęła, i wyprowadziła go do maleńkiej szklarni, urządzonej naprędce przy salonie.

— Pomiędzy temi pięknemi kwiatami — odezwał się Wacław oglądając wazony — musi być wiele pamiątek od marszałka Farureja: to mi tłumaczy, dla czego się tak pani zajmujesz niemi.

Cesia ruszyła ramionami, gdyż wspomnienie Farureja, w ustach Wacława zwłaszcza, było dla niej przykre jak wyrzut, jak szyderstwo; lekki rumieniec pokrył bladą jej twarzyczkę.

— Daj mi pan z nim pokój — odpowiedziała szybko — będę go dosyć miała przez całe życie; tymczasem możemy o nim trochę zapomnieć.

— Aż zapomnieć? — zapytał Wacław — jakto? zapomnieć?

— Chociażby — szepnęła Cesia; — przypomnim go sobie gdy będzie potrzeba.

— Zapomnieć! raz jeszcze powtórzył młody człowiek — byćże to może?

W tem naleganiu żartobliwem, Cesia upatrzyła więcej niż było, a raczej udała, że w niem widzi wiele; spojrzała na Wacława z uśmiechem zalotnym i smutnym, i z góry postanowiwszy sobie postępować z nim napastniczo i śmiało, odpowiedziała bez wahania:

— Wszakże pan mnie posądzić nie możesz, żebym szła za niego z szalonego przywiązania, z miłości w którą trudno uwierzyć. Zdaje mi się, że w tem nie ma sekretu; nie mam wstrętu, to już wiele, ale nie mam i przywiązania: będzie to rozumne małżeństwo wedle świata... Zdaje mi się, że na całej ziemi, chyba jednemu marszałkowi przyśnićby się mogło, że go kocham...

— Pani żartujesz — rzekł Wacław.

— Nie, mówię serjo, mówię prawdę szczerą... Nie kocham go naprzód dla tego, że to wcale nie do kochania człowiek: więcej potrzebuje rumianku i plastrów, niż serca i kochanki; powtóre...

— To *powtóre* już całkiem zbyteczne. Lecz gusta na świecie tak są różne, a marszałek tak miły!!

— Miły! — zawołała śmiejąc się — panie Wacławie, nauczyłeś się kłamać! Toby było dziwactwo, udawanie; ja jestem zbyt prostoduszna, ekscentryczność mnie nie wabi. I jeszcze powtórzę *powtóre*, według

pana zbyteczne; nie kocham go, bo może całkiem kochać nie mogę.

— Temubym łatwo uwierzył.

— Jak zawsze, panowie wszelkiemu złemu rychlej wierzycie; dla czego proszę?

— Bo w istocię pani nie możesz i nie powinnaś kochać.

— Dla czegoż miałabym sama jedna być wydziedziczoną z tego uczucia?

— Jakąś fatalnością może.

— Za jakież przewinienie?

— Tak głęboko zajrzeć nie umiem w tajniki przeznaczenia; aleś mi pani kiedyś, dawniej, mówiła sama, żeś mieć powinna chwalców i niewolników, a nigdy kochanka.

— To żarty — cicho i niby z uczuciem odezwała się Cesia — ale w nich połowa myśli prawdziwej, którą mi boleśną wyrządzasz przykrość. Czyż tak sądzisz w istocie? Jestli-to tylko dowcipne szyderstwo, czy wyraz przekonania?

— Ja nie mam dowcipu — rzekł Wacław — a co myślę to mówię — dodał poważniej.

— Tak myślisz? Cha! cha! — szydersko ale widocznie dotknięta boleśnie zawołała Cesia, w której oczach łzy się zakręciły mimowolnie, łzy gniewu i cierpienia.— Tak! nie mylisz się może! Nie umiem i nie mogę kochać! Jestem furją, Eumenidą, czemś potwornem, bez serca, bez czucia; tak jest! odgadłeś! odgadłeś!!

Powiedziała to żywo, zrywając liście z biednej roślinki, która się jej nastręczyła, a zachmurzone jej czoło, choć oczy już były suche, okazywało jak była dotkniętą.

— Śmieszni ludzie — dodała po cichu — śmieszne sądy ludzkie! Dla nich to tylko jest, co widzą, czego dotkną....

— Dla czego pani to bierzesz tak żywo — przerwał Wacław, zmieszany tym rozmowy obrotem — między miłością a nieczułością zupełną jest tyle stopni i odcieni! Pani masz serce anielskie; ale daruj, że w niem nie sądzę, żeby się pomieścić mogło przywiązanie długie, stałe, namiętne, porywające, odbierające przytomność. W człowieku nigdy dwie władze wielkie obok siebie istnieć nie mogą: pani masz nadto rozumu i dowcipu, byś mogła tyleż mieć serca.

— Sofista! — odparła Cesia — pochlebca! Czyż tylko to jest co się widzi? powtarzam. Może najwięcej jest serca, gdzie go widać najmniej, a pod szatą arlekina często żałobny rąbek ukryty... Uczucie, najdroższy skarb musi się taić w głębi serca... obawia się lada chłodnego powiewu...

— Rzućmy ten przedmiot drażliwy! — przerwał Wacław.

— Nie, owszem, mówmy o tem — nastawała Cesia. — Pan sądzisz, żem zimna Syrena, chłodna, obojętna, zalotnica i nic więcej? nieprawdaż?

Wacław milczał i udawał, że się pilnie przypatruje rozkwitającej Gloxinii.

— Ale mówże pan! — zawołała Cesia, niecierpliwie tupiąc nóżką — odezwij się.

— Nie znam pani jak widzę, a nim osądzę, poczekać potrzeba — odezwał się Wacław — więc odłóżmy odpowiedź...

— Jest więc nadzieja rehabilitacji — rozśmiało się dziewczę, rzucając ku niemu wzrok zaiskrzony — chwała

Bogu! jest nadzieja: każesz mi pan poprawić się i nowy zdać egzamin! Będę miała lepsze zdanie jak zasłużę.

Śmiech suchy, gniewny prawie, zakończył tę rozmowę, która się nie zamknęła czułemi wspomnieniami jak chciała Cesia, ale to był początek dopiero. Sylwan się spieszył i wybierał, potrzeba było powrócić do salonu dla samej przyzwoitości, choć wyjazd brata wcale nie trapił siostry.

Gdy się to dzieje w oranżeryjce, hrabia Walski po śniadaniu wziąwszy pod rękę Sylwana, wyszedł z nim do przyległego gabinetu; a że z sobą byli dobrze, bo przybyły nie przypuszczał w przyjacielu zepsucia jakie go toczyło, Sylwan zaś rad był na stopie poufałości żyć z człowiekiem, którego wyższość czuł instynktowo, wprędce przyszło do zwierzeń.

Na zapytanie dokąd i w jakim jedzie celu, Sylwan schylił się do ucha hrabiego i szepnął mu:

— Nie mów nikomu, ale mi to życie kawalerskie obrzydło: myślę się żenić.

— Tak prędko? — zapytał Walski — a owa Frania?

— Tam mnie ubiegł kuzynek — rzekł wskazując Wacława Sylwan — i bardzo mu za to wdzięczen jestem: nie było w tem sensu, a mógł być kłopot wielki; miałeś słuszność!

— Uznałeś przecie, żem ci dobrze radził? — smutnie odezwał się hrabia.

— I twoje rady wiele wpłynęły na moje postępowanie — przerwał Sylwan — ochłodłem, pomiarkowa-

łem się: ciągnęli mnie, alem odstąpil, a pana Wacława złapali, i tak go obmotali, że się żeni.

— Widzisz — szepnął przyjaciel nie bez trochy dumy, że rada jego tak była trafną — przepowiadałem ci, że mogłeś wpaść w matnię i skończyć ożenieniem, na pozór lekkie miłostki. Spowiadajże mi się szczerze z tej myśli ożenienia, z którą wyjeżdżasz.

— Po prostu znudził mnie Denderów, okolica, pustka mego kawalerskiego pokoiku, której garderobiane mojej matki zaludnić nie mogą; chcę poszukać, zakochać się może i ożenić.

Nie przyznawał się wcale do rachuby, z jaką z domu wyjeżdżał, ale Walski musiał ją przeczuć.

— Trochę mam doświadczenia — rzekł wzdychając — znowu ci dam radę Sylwanie: nie spiesz się, nie spiesz. Zrób projekt dopiero, gdy ci serce uderzy żywo, albo gdy bić już przestanie, i zimną tylko rachubą będziesz się mógł pokierować. Jedziesz z głową nabitą ożenieniem; możesz znowu wpaść na wilczą jamę... Powoli, powoli! Ostrożnie!

— Ale-bo widzę, masz mnie za dziecko nieostrożne — oburzył się nieco Sylwan — za dziecko, które przy każdej świecy osmalić się musi. W głębi wprawdzie mam tę myśl ożenienia, ale wielu a wielu potrzebuję warunków...

— Chcesz się zakochać?

— Trochę... a nadewszystko chcę, żeby to ożenienie było zgodne z położeniem mojem na świecie; chcę, żeby w niem nie było zawczasu nasienia przyszłych zawodów i utrapień.

— Wiele chcesz — zawołał Walski — i nadto na rozum swój rachujesz. Śmierć i żona, od Boga przezna-

czona — z westchnieniem dodał powoli hrabia — a co przeznaczone, to nie minie... Wiesz moję historję — rzekł po chwili. — Zacząłem od młodzieńczych miłostek, skończyłem na nierozważnem ożenieniu; pożycie zawiodło przestrach mój i obawy: byłem szczęśliwy.

— Jakto byłeś? — podchwycił Sylwan.

— Od pół roku owdowiałem — dodał hrabia — i czuję się osieroconym, niewypowiedzianie biednym. Gryzą mnie wspomnienia tylko! O! życie — rzekł — dziwna, straszliwa zagadka!

Sylwan stanął zdziwiony: pomyślał chwilę, i wnet przywykłemu do arytmetyki, przyszły rachuby na wdowca, porównania Farureja z Walskim... majątek jego, stosunki. Trzebaby o tem szepnąć mamie i Cesi! — powiedział sobie w duchu.

Walski po chwili zamyślenia podniósł głowę, obrócił się do Sylwana i począł mówić swobodniejszym głosem, zepchnąwszy smutek w głąb serca.

— Ożenienie, mój drogi, jest najważniejszym krokiem w życiu człowieka, ale i to pewna, że ono najmniej od niego zależy. Co krok spotykamy tu dowody mylności przewidzeń ludzkich: to, co się zwiastuje z zorzą szczęścia, kończy się brudnym łachmanem intryg i męczarni wzajemnych; co się obiecywało chłodem, rozpłomienia; co miało dać spokój, gryzie; czego się lękano, przynosi nam wszystko dobre.

— Sofisto — zawołał Sylwan — wierzysz w przeznaczenie, a nie chcesz przypuścić widzę ani rozumu, ani rządzącej życiem woli. Czemże u ciebie człowiek?

— Im więcej na niego patrzę, tem mniej go rozumiem — rzekł Walski — ale wróćmy do ciebie i ożenienia. Powoli Sylwanie, powtarzam, powoli! Już mi

się to nie podoba, że jedziesz z projektami, rozbijesz się o pierwszą skałę, która ci się wyda lądem.

— Hrabio — odparł Sylwan z uśmiechem zarozumienia — nigdym się nie rozbił o nic i nie rozbiję; serce trzymam na pasku, a rozum puszczam przodem...

— Jakiś ty młody! jaki szczęśliwy! — rzekł Walski — doprawdy aż ci zazdroszczę. Ha! może ci się uda! Ale pamiętaj jeszcze jednę przestrogę moję: jeśli chcesz szczęścia, nie szukaj go zbyt wysoko. Nie myślę cię zachęcać, żebyś się ożenił z pierwszą lepszą subretką, bo na to ci rozum twój nie pozwoli; ale na Boga! nie sięgaj zbyt górnie. Może wspomnienie mojego szczęścia mnie uwodzi, ale się boję kobiet naszego świata.

— W tem nie masz słuszności — odparł Sylwan — kobiety są wszędzie jedne, a nasze mają to za sobą, że forma powabniejsza, że wdzięk w nich większy, że samo zepsucie jakoś w nich pokryte wstydem i poetycznemi obsłonkami.

W tej chwili wszedł stary Dendera, goniąc za Walskim, a nie chcąc Cesi przeszkadzać w rozmowie jej z Wacławem; jednakże hrabia miał czas jeszcze szepnąć Sylwanowi:

— Bądź ostrożny!... Mniej rozumu, więcej użyj serca do tej sprawy... Życzę ci szczęścia...

— Bądź spokojny, dam sobie radę — odpowiedział Sylwan.

— No, hrabio — przerwał Zygmunt-August — konie twoje gotowe... Każ je odprządz lub ruszaj. Wolałbym, żebyś jeszcze dzień jaki nam darował!

Okazywanie czułości dzieciom wchodziło w plan Dendery: przy ludziach, chciał być ojcem troskliwym, na-

miętne więc do nich przywiązanie okazywał w obec świata.

— Zostań, zostań — rzekł nagląc Sylwana — który dosyć chłodno przyjmował te oznaki serca, wiedząc ile w nich było prawdy. — No! dzionek mnie i matce daruj jeszcze, proszę cię!

— Jeżeli moje przybycie ma Sylwanowi mieszać szyki — zawołał Walski — ja i tak dziś jechać muszę; nie warto, żeby się dla mnie wstrzymywał. Wstąpiłem, nie chcąc ominąć Denderowa, ale pilny mam interes, i za godzinę wyruszę.

— I ty hrabio i Sylwan zostaniecie! — rzekł stary Dendera, choć w istocie nie myślał ich zatrzymywać — ot tak! dla mnie!

— Ja muszę pospieszać, bo mam dzień wyznaczony — kłaniając się odrzekł hrabia.

— A ja — dodał Sylwan, żeby nie przedłużać rozczuleń i pożegnań, także jadę.

— Toście panowie oba niegrzeczni! — odezwał się stary Dendera — ale butelkę węgrzyna strzemiennego wysuszym? — zapytał z uśmiechem i znaczącem przymrużeniem oka.

Nikt nie był od tego, i kamerdyner wniósł zaraz na tacy zapleśniałą butelkę węgrzyna, który tak był fabrykowany, jak uśmiechy i łzy Denderowskie.

Żydek z blizkiego miasteczka robił te stare wina co roku: a byłto artysta w swoim rodzaju. Rozmaitych ingredjencji mieszaniną, lada lurze nadawał bardzo zręcznie smak różnego wieku węgrzyna, edukował korki, pozorem pleśni oblepiał butelki; słowem zaopatrywał piwnicę w zawołane, myszka trącące napoje, na których się większa część gości oszukiwała. Hrabia naj-

bezwstydniej opowiadał historją każdego maślaczu, który wedle regestrów piwniczych zbutelkowany był tego a tego roku; a ludzie wychwalali jego lochy, chociaż w nich ledwie kilkadziesiąt butelek istotnie starych win, od wielkiego dzwona w kątku stały oddzielnie. Te podawano tylko przy bardzo wielkich znawcach, z któremiby się skompromitować można.

Węgrzyn nalany w kielichy, wonią silną rozszedł się po pokoju; poczęto admirować jego bursztynowy kolor, tłustość, smaczek i twarze się rozweseliły, a Dendera korzystając z tego usposobienia usiłował wstrzymać Walskiego, na którego już miał pewne osnute projekta: zamiany dóbr przyległych.

Na nic się to jednak nie zdało, bo pośpiech Sylwana, któremu nie wiedzieć czego pilno było w świat, przyspieszył także wyjazd Walskiego. Zaraz po śniadaniu hrabia wziął za kapelusz, a syn nastrajając fizjognomią dla przyzwoitości, podszedł ku matce, która już chustkę na pogotowiu trzymała i do oczu ją przyłożyła. Poczęły się serdeczne uściski, błogosławieństwa i cała znowu komedja rodzicielskich uczuć. Nie przeczę, że w nich coś było prawdy, że serce jakkolwiek zamarłe, ozwało się o prawa swoje; ale ci ludzie w objawieniu najprawdziwszego nawet uczucia szczeremi być nie mogli: komedja mieszała się z prawdą. Hrabina dochodziła aż do użycia eteru i wódki kolońskiej; hrabia przybrał fizys magnata wyprawującego syna na wojnę z niewiernymi; Cesia ubrała się w melancholią i zamyślenie, kilką nawet westchnieniami wytłumaczyła się z ucisku swojego serca.

Dendera w ganku wyszedłszy ze wszystkiemi, siadającemu już synowi krzyżyk zrobił nad głową, matka

dała mu relikwiarzyk, siostra czułe uściśnienia i Sylwan rzucił się znudzony do koczyka, a konie z kopyta poniosły Cezara i jego fortunę. Wszystko to było tem śmieszniejsze dla patrzących, że Sylwan jechał tylko do Warszawy, wszyscy wiedzieli po co, nie nadługo i z najweselszemi w świecie nadziejami, które pomimo przybranej maski, z twarzy jego wytryskały.

Po chwili ruszył za nim hrabia Walski, a Wacław sam pozostał, wybierając się także do Palnika; ale mu Cesia i stary Dendera wyjechać jak chciał nie dali: zaczęto go prosić, wstrzymywać, naglić i tak usilnie nastawać, że śmiesznościąby się było im opierać. Wacław więc na obiad pozostał. Matka i ojciec pod pozorem opłakiwania wyjazdu syna, ustąpili natychmiast prawie, a Cesia wzięła na siebie bawienie kuzynka.

Nadskakiwania jej i zalotność nadto były widoczne, żeby się na nich nawet ten do którego skierowane były nie poznał; Wacław czuł grożące mu niebezpieczeństwo, zbroił się przeciwko niemu wspomnieniem Frani, obraniał przywodząc na pamięć przeszłość swoję, a pomimo to widział, że ucieczka byłaby najwłaściwszym środkiem. Cesia z kolei szyderska, czuła, zamyślona, nieszczęśliwa ofiara, to znowu zimna i nielitościwie pomiatająca wszystkiem, przedstawiała się Wacławowi ze wszystkich stron, usiłując zgadnąć, która z jej barw kameleonowskich najsilniej nań podziała. Wacław był grzeczny, dowcipny, ale ciągle pan siebie; a choć chwilami wspomnienie i niedogasłe jakieś uczucie wstrząsało nim jak prąd elektryczny, trzymał się zdaleka i ostrożnie. Szczęściem dlań, przypomnienie przyszłości było zarazem niebezpieczeństwem i tarczą: czerpał

w niem siłę do oparcia się Cesi. Położenie to jednak męczyło go niewypowiedzianie, i rad był uciec do Palnika, do Wulki, wyglądając godziny wyzwolenia coraz tęskniej i niespokojniej.

I hrabia i hrabina usunięciem się swojem z placu boju dowiedli, że Cesię zrozumieli, a stary Dendera obrachowawszy wszystko, wierząc w to, że Wacław słaby poddałby mu się, wcale nie był przeciw zalotnym zabiegom córki. Kto wie, może już i starość Farureja i jego prawdopodobnie krótkie życie, i miłość Wacława, i obu ich majątki razem wchodziły w projekta spekulanta? Przed chwilą przebiegło mu przez głowę, że i Walski nie byłby złą partją: teraz znowu obrachowywał Wacława, a w jego przekonaniu zapas nigdy nie szkodził, i rozumowi Cesi potrzeba było zostawić zupełną swobodę działania. Hrabina przejęta uczuciami przyzwoitości dlatego wolała Wacława, że córka wychodząc za niego nie miałaby pozoru ofiary: usunęli się więc oboje, w nadziei, że śmiała, żywa, pewna siebie dziewczyna, musi nareszcie głowę kuzynkowi zawrócić.

Hrabia nawet obawiając się dawnego wstrętu żony dla wychowańca, który tak świetną zrobił karjerę, pobiegł za nią do gabinetu, chcąc się z nią jasno i otwarcie rozmówić.

Odwiedziny te, rzadko się już bardzo przytrafiające, zadziwiły i zniepokoiły nieco panią hrabinę; ale jeden rzut oka przekonał, że się na ten raz wymówek i scen żadnych obawiać nie było potrzeba. Przybrawszy jednak na wszelki wypadek minkę ofiary, usiadła w fotelu oczekując rozpoczęcia rozmowy.

— *Chere Eugenie!* — odezwał się Dendera — nie będę ci się długo naprzykrzał, ale wybrałem tę chwilę,

żeby z tobą pomówić o Cesi.

— Słucham hrabiego — cicho odpowiedziała pani, wąchając coś z flaszeczki, która ją nigdy nie opuszczała.

— Potrzeba żebyśmy oboje w jednym postępowali kierunku, i porozumieli się o jej przyszłości. Nie wątpię, że Cesia ma główkę nielada: trochę rozumu wzięła po mnie, wiele kobiecej zręczności po matce...

— Panie hrabio! jeśli w tym tonie mamy prowadzić rozmowę...

— Nie, *chere Eugenie* — to mi się tylko wymknęło mimowolnie. — Farurej jest z pewnych względów partją wyborną, ale... ale...

— Nigdym mu córki mojej poświęcić nie chciała i serce moje na to się wzdryga: *c'est monstrueux!*

— Dajmy pokój sercu, kochana hrabino, rachujmy, to lepiej. Stary, zgniły, obrzydliwy, schorowany, ale ogromnie bogaty: zapisze Cesi, byle umiała nim pokierować, co zechce... Nie pożyje długo... to może nas zbogacić!

— Brzydzę się taką rachubą!

— A! i ja także! — rzekł śmiejąc się hrabia — ale świat stoi na rachunku! Cesia dosyć ma rozsądku, trzyma go na pasku, w odwodzie.

— Radabym, żeby się to zerwało! Przyszłość mnie przestrasza.

— A! *chere Eugenie!* — szydersko rzekł hrabia — przyszłość dla was jest zawsze pełna kompensacji! Nie ma się co obawiać, Cesia da sobie radę.

Hrabina silniej powąchała flaszeczkę, westchnęła i nic nie odpowiedziała.

— Ztemwszystkiem — kończył hrabia — ztemwszystkiem co byś ty hrabino powiedziała, gdyby Cesia po-

wróciła do Wacława, a Wacław do Cesi?

— Jakto wróciła? — zapytała hrabina...

— Jużciż musiałaś widzieć, że dawniej, dawniej probowała na nim swej siły. Wacław pocichu się w niej kochał, a te nieszczęśliwe wypadki — dodał hrabia — rozerwały nie w porę bardzo dla nas szczęśliwie wiążące się między niemi stosunki... Dziś Wacław bogatszy od Farureja....

— Ale Wacław się kocha w tej... w tej tam szlachcianeczce.

— Cesia na to poradzi: właśnie chciałem cię prosić, żebyś jej nie przeszkadzała.

— Hrabia wiesz — z przyciskiem odpowiedziała hrabina — że ja w domu nikomu nie przeszkadzam, bo nic nie znaczę... Róbcie sobie co chcecie... ale...

— Ale co? — zapytał Dendera.

— Ale cała ta sieć intryg i rachub oburza mnie!!

Zygmunt-August roześmiał się szczerze i na całe gardło, a w tym śmiechu tyle było złośliwości, że pani hrabina w pierwszej chwili porwała się z krzesła; rozmyśliwszy się jednak i przybrawszy minę męczennicy cierpliwej, usiadła znowu.

— *Chére Eugenie* — począł spocząwszy Dendera z miną poważniejszą — powiem ci szczerze, że na wszelki wypadek Wacław nam potrzebny: nie zawadzajmy im wcale, bądźmy ślepi... ot, o co cię prosić miałem. Cesia wie co robi, i doprowadzi to do dobrego końca.

— Nie przeszkadzam nikomu — szepnęła hrabina — nawykłam nie być panią w domu, nawet względem moich dzieci...

— Dajmy pokój wymówkom, zadalekoby to nas zaprowadziło! — surowiej rzekł Dendera. — Widzę, że

się na zasady zgadzamy, pomimo tego co się pani mówić podoba, więc jej dłużej utrudzać nie będę...

To mówiąc, skłonił się z przesadnem i szyderskiem uszanowaniem, i pocichu wysunął się z pokoju. Hrabina po odejściu jego podniosła głowę, chmurnem okiem, z zagryzionemi usty popatrzyła na drzwi, i chustkę, którą trzymała w ręku, cisnęła o podłogę, wstrząsając się cała...

— Niewolnica! niewolnica, — wymówiła pocichu. — A! to straszne... całe życie tak przetrwać i nigdy swobodną nie odetchnąć piersią... Są istoty fatalnie na łup cierpieniu przeznaczone...

My wróćmy do salonu, do Cesi i Wacława, którzy naprzód przy otwartym fortepianie długo rozmawiali, powtarzając prawie ranne w oranżeryjce spory; potem, korzystając z pogody jesiennej, przez otwarte drzwi wysunęli się do ogrodu.

Dzień był piękny, ale chłodnawy; mnóstwo liści, otrząśnionych z drzew mrozem i wiatrem dni poprzedzających, trupem leżało pod nogami; w atmosferze, w powietrzu, w otaczającym pejzażu, rozlewało się coś dziwnie smutnego, mimowolnie ściskającego duszę. Wacław zamyślony stąpał obok kuzynki, która to nań wymownie patrzała, to go drażniła pół-słówkami i zaczepiała, chcąc wywieść z dotychczasowej obojętności, a naprowadzić na drogę uczucia, ale napróżno. Młody człowiek patrząc na nią, myślał o Frani; mówiąc z nią, uciekał do Wulki, i silnie się bronił miłością swoją od napaści zalotnicy.

— Nie pojmuję w panu tej obojętności dla Denderowa! — zawołała Cesia, po kilkakroć usiłując zawiązać rozmowę więcej znaczącą. — Tyle lat tu spędzo-

nych, lat młodości, lat rozkwitu, powinnyby zrodzić jakieś uczucie, jeśli nie dla ludzi, to dla miejsca...

— Możeszże pani pomyśleć nawet, że mi Denderów obojętny?

— Myślę, bo widzę... Mnie się zdaje, że i do więzieniabym się nawet przywiązała.

— Do więzienia! — powtórzył młody człowiek uśmiechem znaczącym — o! i ja też przywiązałem się do niego! Ale czyż i to nienaturalna, gdy kto raz pierwszy ma *swój*, własny *swój* kątek; gdy poczyna być panem siebie; gdy mu Bóg da domek, i ciszę, i niezależność, żeby się do nich całem sercem przywiązał, zamykał, by ich użyć, i rozkoszował nieznanem w życiu dobrem?

— To nie przeszkadza pamiętać o przeszłości.

— Któżby ją mógł kiedy zapomnieć?

— Nie mów pan tego, umiesz to doskonale. A jednak... — dodała smętnie z pełnem wyrazu spojrzeniem — był czas, był czas, żem inaczej o jego uczuciach dla nas... dla mnie... sądzić miała prawo...

— Uczucia te w niczem się nie zmieniły — rzekł Wacław chłodno, postrzegając się, że rozmowa niebezpiecznym isć poczyna torem.

— O! i bardzo! zawołała Cesia spuszczając oczy. — Obcy ludzie zajęli miejsca nasze, owładli panem Wacławem, i kazali zapomnieć przeszłości.

— Powinienem być wdzięcznym i dziękować za te wymówki — odezwał się Wacław po chwili namysłu. — Dowodzą one jakiegokolwiek mną zajęcia, na które, nie sądzę, żebym zasłużył...

— Niewdzięczny! — zawołała Cesia z dobrze odegranem uczuciem — wówczas, kiedyś był dla wszyst-

kich ubogim chłopcem, bez przyszłości, przypomnij sobie...

Nie dokończyła, ale Wacław uczuł się wzruszonym: tak łatwo jest wmówić uczucie i przetłumaczyć przeszłość!

— Ja wszystko pamiętam — rzekł żywo — za wszystko wdzięczen być umiem; i jedna kropla wody, i jedno spojrzenie nie utonęło w mroku dla mnie, czuję je, widzę, złożyłem w mojej skarbnicy...

— Tak! z zeschłemi liściami w jesieni... jak nieżywe zwłoki! — przerwała Cesia.

I mówiąc to, schyliła się do grządki, na której ostatkiem życia puściła była i zakwitła spóźniona rezeda, zerwała ją i podała Wacławowi, z wejrzeniem pełnem zamglonych tajemnic.

— Rezeda jeszcze się zieleni, niczże ona nie przypomni? — spytała po cichu.

— I owszem pani! — otrząsając się z uczucia, rzekł Wacław — imieniny hrabiego, moję omyłkę, i wielką a słuszną burę, którą dostałem od pani.

— Omyłkę? Pan sądzisz, że to była omyłka?! — podchwyciła kobieta.

Wacław spuścił oczy i umilkł.

— Omyłkę! — powtórzyła Cesia, zmieniając głos nieco. — Tak, najwięcej jest w świecie omyłek! O! i ja omyliłam się nieraz i nie na jednym człowieku!...

To powiedziawszy, dumnie podniosła głowę, zawróciła się i zawołała:

— Chłodno, nie prawdaż? Wróćmy do salonu, posądzonoby nas jeszcze, żeśmy umyślnie od ludzi uciekli, kiedy w istocie nie mamy sobie nic do powiedzenia pocichu!!

Wacław zawrócił się milczący; cierpiał widocznie, męczył się i rad był wyjść z fałszywego położenia; uwolniła go szczęściem sama hrabina, którą w salonie zastali z książką w ręku, poetycznie zadumaną. Przesiedziawszy kilka godzin jak na śpilkach, uciekł nareszcie od rozdrażnionej z litością i smutkiem w sercu.

Spojrzawszy na ten świat Boży, wśród którego miljony ludzi kręci się, spotyka, krzyżuje i wzajem o siebie ociera; na żywot nasz społeczny, na stosunki nasze z istotami otaczającemi, co chwila zdumiewać się musimy prawicy Bożej, która tak to wszystko urządziła, że każdy z nas przychodzi na naznaczone miejsce w danym czasie, każdy jest zarazem ofiarą i sędzią; a to czego od swych współbraci doznaje i czem ich napawa, zawsze według zasad najściślejszej sprawiedliwości, nie ludzkiej, ale Bożej, obrachowanem zostało. Nic w istocie nie ma tu dowolnego, obojętnego, małoważnego; każdy krok ma swoje następstwa, każde słowo jest nasieniem uczynku, każdy uczynek wiedzie za sobą szereg nowych czynów, każde zetknięcie się człowieka z człowiekiem służy do czegoś, jest karą za przeszłość, nagrodą lub ziarnem, z którego coś nowego wyrośnie. Często maluczka chwila wyrokuje o losie całego życia; jeden krok stanowi o całej drodze, jeden rzut oka zawiera w sobie całą przyszłość, a wśród tego poplątanego kłębka ludzi i myśli, ruchów i czynów, świeci wszędzie idea sprawiedliwości, która tą trudną kieruje machiną.

Gdyby był Sylwan, wyjeżdżając z Denderowa, zatrzymał się trochę na prośby ojca i hrabiego Walskiego,

gdyby się był o kilka godzin opóźnił, cała jego podróż i wszystko, co skutkiem jej wyniknąć miało, innąby przybrało postać. Pospiech, z jakim ruszył, uczucie niepokoju, jakiego doznawał, wszystkoto miało cel i znaczenie...

W pierwszej chwili, odjechawszy od ganku, rozparty w wygodnym koczyku, po dobrej jadąc drodze szparkim kłusem, rozkołysany do marzeń, Sylwan puścił cugle wyobraźni, i jak to bywa w młodości, gdy przed nami wszystko jeszcze, począł budować zamki na lodzie. Fantazja jego, wyprzedzając konie, leciała już do miasta, do którego jechał, i witała świat nowy zawczasu uśmiechem zwycięzkim.

Sylwan, który wierzył w siebie, widział się otoczonym ludźmi patrzącemi nań z zachwyceniem, z uwielbieniem, z podziwem; kobietami pociągającemi go wzrokiem i uśmiechem, powoli wchodził w grono nieznane i podbijał je, stając się panem umysłów, serc i namiętności. Królował więc wśród widziadeł, które sobie tworzył, wymyślał przeszkody na drodze do celu, stawiał nieprzyjaciół z kart wystrzyżonych, i obracał wszystko na tryumf swój i okrycie się większym blaskiem.

Ani się spostrzegł, jak wsród tego marzenia uleciał spory kawał drogi i znalazł się na pocztowym gościńcu, którym miał już jechać aż do stolicy. Wzrok jego zasłoniony przesuwającemi się przezeń urojonemi postaciami z przyszłości, błądził nie zatrzymując się na przedmiotach; zresztą, świat zewnętrzny mało w ogólności obchodził go zawsze, a w tej chwili mniej niż kiedy. Co mu było do tego, że słońce świeciło jasno, że niebo osnute było białemi wpół-przejrzystemi chmu-

kami, z za których harmonijnie gdzieniegdzie błękit łagodny przeglądał; że rośliny, i krzewy, i ściernie, jedwabne, srebrzyste obwijały pajęczyny, że woń jesieni właściwa i barwy tej smętnej pory roku otaczały go i dopominały się, by ich używał, by je rozważał. Sylwan nigdy nie wszedł w ten związek z naturą, poetów i artystów będący udziałem; nigdy nie pomyślał o świecie inaczej, tylko aby go użyć, aby zeń jakąś rozkosz, jakąś przyjemnostkę wycisnąć. I światła, i cienie, i barwy, i stworzenia Boże były mu obojętne, jak tylko nie przyczyniały się do nasycenia go, jak tylko mu się nie kłaniały; nigdy nie spojrzał na człowieka, aby się go uczył poznawać, spuszczał się w tem na swój instynkt, mając go za niechybny.

Prostym też wypadkiem uderzył oczy jego widok długiego szeregu powozów, który wypadło mu omijać. Po ich budowie, po ubraniu sług, po całem urządzeniu, Sylwan poznał, że podróżni, których spotkał, nie byli z naszego kraju. Zrazu wahał się i wziął ich za Podolaków, ale wkrótce, rozpatrzywszy się lepiej, przekonał się, że to było jakieś galicyjskie państwo, świeżo gdzieś przez Radziwiłów i Brody przybyłe na Wołyń i sunące się do Warszawy. Przybór był dosyć pański i wspaniały: szła przodem piękna wiedeńska kareta, sześcią końmi zaprzężona, z kamerdynerem na koźle wyglądającym na pół-panka; a przez spuszczone jej tafle widać było poważnego, siwawego mężczyznę i piękną, młodziuchną kobietę, z drugą podżyłą już i skromnie ubraną. Za niemi kocz, w którym chichotały dwie garderobiany czarnookie, z figlarnemi minkami subretek teatralnych; szaraban z kuchnią i bryczką zapewne z garderobą, rzeczami i resztą pakunku. Wszyscy ludzie

tego dworu mieli miny sług zamożnego domu, powozy były nowe i piękne, zaprzęgi skromne, ale szykowne; słowem, wyglądało to na coś wcale znakomitego: i Sylwan raz wyjrzawszy, zrobił sobie uwagę, że może los wysłał umyślnie naprzeciw niego to, co mu z góry przeznaczał. Minąwszy więc, kazał zjechać trochę na bok, i przypatrzył się pilniej, zwłaszcza karecie, na drzwiczkach której odkrył nawet herb z baronowską koroną, nie krajowy, z trzech dziwnych kompartynentów złożony, trochę niemiecki, ale dość dobrą minę mający. Wszystko to razem zaintrygowało go niepospolicie, i nim do popasu dojechał, nabił sobie niepotrzebnie tem głowę, że należało mu koniecznie starać się dowiedzieć o podróżnych, a jeśli można przybliżyć do nich. Manewrował więc stosownie: zwolnił kroku koni, wybierał na popas karczmę najwygodniejszą, i stanąwszy w niej, wyszedł z cygarem w ustach czatować, z góry sobie zapowiedziawszy, że jeśli ci państwo nie zajadą do gospody, powlecze się dalej za niemi. Dobry kwandrans nie było widać ekwipażów; Sylwan już się poczynał żżymać z niecierpliwości, gdy nareszcie furgon, który karetę wyprzedził, zatrzymał się przed karczmą i służący wybiegł widocznie dla opatrzenia pokoju dla państwa a stajen dla koni. Sylwan kazał się ludziom usunąć i zrobić miejsce, sam wyniósł się do maleńkiej izdebki, i ułatwił popas, uśmiechając się, że mu los tak sprzyja, i sam w ręce, czego pragnął, podaje. Ludzie z furgonu mówili po polsku, i kamerdyner Sylwana zręcznie się do nich zbliżywszy, potrafił zaraz wybadać, że jechali z Galicji do Warszawy, że pan ich nazywał się baron Hormeyer, że miał młodziuchną córkę, że był wdowcem, że był niezmiernie bogaty, itd. itd.

Wszystkie te wiadomości bardzo były pomyślne, i Sylwan odszedł do swojego pokoiku podśpiewując wesoło, właśnie gdy baron z córką i guwernantką wysiadali. Nie wypadało mu bardzo się im nastręczać, a rachował na podróż, że później musi mu ułatwić potrzebną znajomość. Z okna izdebki, którą sobie obrał, mógł zresztą przypatrzeć się znowu i samemu panu baronowi, który mu się wydał niezmiernie dystyngowanym człowiekiem najlepszego tonu, i córce jego, która bez żadnej przesady była idealnie piękną istotą. Wątła, delikatna, z płcią nadzwyczajnej delikatności i świeżości, z czarnemi oczyma ognistemi, ale smutnemi, baronówna pomimo wyrazu jakiegoś zamyślenia i cierpienia, pomimo znużenia malującego się na jej twarzy, zachwyciła go regularnością rysów i rodzajem piękności, jaki tylko w salonach arystokracji spotkać można. Wszystko w niej znamionowało pieszczone dziecię, może jedynaczkę wielkiego domu, otoczoną od dzieciństwa atmosferą starań najczulszych i wyhodowaną do świata, który miał przed nią uklęknąć. Guwernantka, a raczej dama do towarzystwa jej dodana, mogąca mieć lat czterdzieści kilka, miała też powierzchowność niezmiernie dystyngowaną. Sylwan patrzał jeszcze łakomemi oczyma, gdy widzenie przemknęło mu się i znikło; ale wrażenie pozostało po niem. Kamerdyner otrzymał zaraz polecenie badania podróżnych i zdawania sprawy z tego, co się dowie o nich, i młody człowiek sam nie wahał się użyć wszelkich nawet niebardzo godziwych środków, dla podchwycenia czegokolwiek z rozmowy i ruchów swych sąsiadów. Dziurka od klucza i cienkie drzwi dzielące go od baronów, na niewiele mu się jednak przydały; Sylwan więc z danych już materja-

lów tworzył sobie historją. Dręczyło go tylko, że nazwisko barona Hormeyer całkiem mu było nieznane i nic nauczyć nie mogło, a mimoto i ludzie i państwo mówili po polsku, i rodzina ta widocznie do krajowych się liczyła... Szczęściem przypomniał sobie Sylwan, że przerzucając Niesieckiego w bibliotece ojcowskiej, mnóstwo w nim widział familij niemiecko-polskich, pochodzących z nad Renu, Saksonii, z Austrji, których nazwiska niezbyt były w kraju znajome, a procedencja niewątpliwie arystokratyczna. Zresztą herb na karecie dowodził szlachectwa starego; a Sylwan raz sobie powiedziawszy, że to coś było niezmiernie pańskiego, wszystko do potwierdzenia swej myśli naprowadzał.

Rzeczy były na tym stopniu, gdy kamerdyner Sylwana, Ocieski, przybiegł zdyszany, oznajmując, że i pan baron także przypatrzywszy się powozowi, ludziom i koniom podróżnego, ciekawie się o niego samego Ocieskiego dopytywał. Kamerdyner nie w ciemię bity, wiedział co o panu mówić: powtórzył kilka razy tytuł grafa, napomknął o dobrach wołyńskich, podolskich, ukraińskich i galicyjskich; dał wreszcie do zrozumienia, że Sylwan był synem jedynym magnata, i nie taił się, że jadą do Warszawy. Pocichu się o tem dowiedziawszy od Ocieskiego, podróżny nasz zatarł ręce i zagryzł wąsika, mrucząc pod nosem: *tout va bien!*

— Nie dowiedziałeś się — spytał — gdzie myślą nocować?

— Ciągną do Uściługa.

— I my będziemy nocowali w Uściługu.

Składało się wszystko jak najpomyślniej, i ku końcowi popasu Sylwan uznał w duchu, że nie kompromitując się, wyjść może trochę przed karczmę z cygarem

i nie powinnoby to mieć miny pragnienia gorącego zawiązania znajomości. Chociaż więc wyszedł obojętnie z rękami w kieszeniach i głową do góry, pilnował się, żeby z ciekawością, która go paliła, nie spojrzeć na nic baronowskiego. Stąpiwszy za próg, zawołał Ocieskiego żeby konie coprędzej zaczął zaprzęgać; trochę ludzi połajał dla tonu i ziewnąwszy głośno, wyszedł się przed karczmą przechadzać.

W chwilę potem baron pokazał się we wrotach jakby umyślnie naprzeciw naszego podróżnego się wysunął.

Sylwan, choć pierwszy raz w życiu udawał, że admiruje krajobraz otaczający, nie odwracając się, miał czas z pod oka przypatrzeć się panu baronowi Hormeyer.

Byłto mężczyzna lat około pięćdziesięciu lub więcej mieć mogący, słusznego wzrostu, prosto i po wojskowemu się trzymający, czarno i skromnie ubrany.

Twarz jego, choć w podróży, świeżo wygolona, ubiór pięknego kroju i wdziany z trochą pretensji, zdradzały człowieka, który przywykł do miasta i baczności na siebie: żył znać na większym świecie i wytworność stała mu się nałogiem. Włosy jego siwiejące już znacznie, ostrzyżone były nizko; ani wąsów, ani podbródka nie pozostawiła brzytwa na jego bladych i nieco pomarszczonych policzkach; czoło miał wzniosłe i pogodne, nos rzymski znacznie garbaty, usta wązkie i zacięte, oczy siwe z wejrzeniem powolnem i głębokiem. Cała ta postać dziwnie podobną była do tych na małych teatrach wystawianych ministrów i mężów stanu, którzy zwykli ukazywać się ze wstęgą na szyi i zwitkiem papierów w ręku. Sylwan widział w niej tylko coś dystyngowanego, arystokratycznego, pańskiego, co mu się niewymownie podobało, i niby coś sobie przy-

pomniawszy, pomacawszy się po kieszeniach, szybko z przechadzki powolnej zawrócił się ku karczmie. Musiał przechodzić wracając obok pana barona, a ten nie czekając powitania, jako człowiek dobrego wychowania spotykający w pustyni swojej sfery towarzyskiej współbrata, zlekka mu się ukłonił; Sylwan oddał ukłon z większą niż zwykle grzecznością. Byłto maluczki już początek znajomości; ale w tej chwili, kiedy mijać miał nasz podróżny pana barona, usłyszał za sobą po polsku, ale nieco z niemiecka złamaną mową wyrazy:

— Za pozwoleniem pana!

Sylwan zatrzymał się i grzecznie przybliżył.

— Nie mógłbym pana prosić o powiedzenie mi godziny? zegarek mój stanął, obawiam się opóźnić.

Bardzo szczęśliwie Sylwan miał dany od ojca prześliczny repetjer Czapka z Genewy, który dobywszy, ukazał na nim dochodzącą już drugą.

— A! — zawołał baron — tak późno, a do Uściługa tak daleko, i droga nieznajoma!

— Pozwolisz pan sobie powiedzieć — pospieszył Sylwan — jako nieznającemu kraju, że przed Uściługiem na wiorst kilkanaście jest niezłe miasteczko Włodzimierz, w którem z biedy przenocować można.

Rozmowa już była rozpoczęta, pierwsze lody przełamane, szło dalej jak po maśle.

— Bardzom wdzięczen — skwapliwie odparł baron z uśmiechem — tem bardziej, że istotnie kraj ten całkiem mi nieznajomy, i niebardzo wygodny do podróży z kobietami.

— A! kraj nasz — zaczął Sylwan, który chwytał wszelką zręczność znęcania się nad tem co swoje — to nie Prusy, nie Austrja, nie zachód Europy, gdzie za-

wsze jakiś dach gościnny pod koniec dnia się spotyka; nasze mieściny liche, karczmy nasze żydowskie i nieład największy, wszystko mieć potrzeba z sobą.

— Pierwszy raz będąc w tym kraju — zawołał nieznajomy — ciężko mi się z nim oswoić; jużem raz dla braku ostrożności nocował pod jakąś kopą; a że mam z sobą dziecię moje, córkę bardzo delikatną i słabą istotę, boję się drugiego takiego wypadku.

— Jeśli pan pozwolisz — rzekł Sylwan — ja, jako obyty z krajem, znający miejscowość, świeżemi jadący końmi, mogę, stając wprzód, kazać ludziom moim nocleg dla państwa obejrzeć i zamówić.

— Byłoby to nadużyciem — grzecznie ale prostując się odpowiedział baron — gdybym pana tem śmiał trudzić, nie mając przyjemności być mu znajomym.

— Jestem hrabia Sylwan Dendera — pospieszył podróżny.

— Mam honor prezentować się: baron Carl Hormeyer.

Zdjęli czapki, ukłonili się sobie wzajemnie, i zrobiwszy znajomość naprędce, że w tej chwili konie Sylwana już były wyszły, rozstali się, a podróżny nasz przyrzekł we Włodzimierzu zamówić nocleg dla barona, obiecując sobie stanąć pod jakimkolwiek pretekstem w tym samym domu.

Na pierwsze spotkanie bardzo już wiele zrobiono. Sylwan się zapoznał, jechali do Warszawy jedną drogą: w drodze stosunki rychło się bardzo zawiązują, reszta łatwo się mogła stopniami dopełnić. Baron podobał się bardzo Sylwanowi, język tylko niemieckim akcentem złamany nie był mu do smaku, ale to tłumaczyło, że baron służył przy dworze austrjackim i zanadto się zniemczyć musiał.

Wszystko szło po woli, po myśli młodemu hrabi, i poświstując, o zmierzchu zajechał na rynek we Włodzimierzu, wysyłając Ocieskiego, aby jak największe zajął domostwo. Opatrzono pokoje dla barona i jego familii, obok ciupka dostała się Sylwanowi, który zawczasu w niej akustyczne i optyczne porobił do obserwacji przygotowania, a kozaka wyprawiono, żeby Galicjan wprowadził, gdy się na rynku ukażą.

Sylwan przeciwko wszystkim zwyczajom swoim tak był grzeczny, że własnem kadzidłem pokoje przewietrzywszy, zapachnił, i własną swą osobą trochę w nich ładu i porządku zaprowadził. A że nie wypadało mu się już drugi raz nastręczać baronowi, rozłożył się w swojej ciupce, nie bez skrytej nadziei, że mu nieznajomy przyjdzie za jego grzeczność podziękować.

Ocieski był tegoż zdania: szło o pokazanie się przed Galicjaninem i zaślepienie go elegancją i przepychem.

Natychmiast więc obito ścianę dywanem, rozłożono u łóżka skórę niedźwiedzią, rozpakowano toaletę hrabiego, ustawiając ją na wspaniałą serwetą pokrytym stole, a na drugim lokaj przygotował do herbaty serwis podróżny od sreber i porcelany z wyrazistemi herbami familii. Konie Sylwana, który chciał wyprzedzić podróżnych, dobrze się zgrzały, ale też dość mieli czasu na przygotowania Ocieski z kozakiem, i gdy kareta barona wtoczyła się pod zajazd, już herbata u hrabiego była gotowa, a on sam z obrachowaną elegancją zasiadał do niej z książką w ręku. Ciężkoby mu było powiedzieć co czytał, ale duch wieku czytać kazał. Dumał więc z oczyma wlepionemi w popstrzone karty, na których dla niego nie było myśli.

Dobre pół godziny minęło, a na szpiegi wysłany

Ocieski nic nie przyniósł; i już Sylwan żałować zaczynał próżnego oczekiwania, gdy drzwi się otworzyły i baron w czarnym surducie, u którego pstrzyły się dwie od niechcenia przywiązne orderowe wstążeczki, wszedł do ciupki Sylwana.

Sylwan pospieszył przeciwko niemu.

— Przepraszam pana barona — zawołał wesoło — że się tu śmiałem przyczepić, ale wszystkie domy pozajmowane i ledwie pozostał ten kątek.

— Ale ja bardzo rad z sąsiada — odparł baron — a przychodzę podziękować za jego grzeczność w obraniu nam domu, bo samibyśmy sobie tu go nie wynaleźli.

— A! to fraszka! — przerwał Sylwan. — Mogę mu służyć herbatą podróżną?

— Nie zrobi to panu subjekcji?

— Najmniejszej. Ocieski! filiżanek!

Herbata umyślnie przygotowaną została tylko na jednę osobę, ażeby cały przybór nie miał pozoru występu: jednakże dany był do niej i ser, i szynka, i pieczyste ze zwierzyny, i mnóstwo ciastek, i łakotek, na które Galicjanin pożądliwem spozierał okiem.

— Przepraszam tylko — dodał Sylwan — nie mogę go przyjąć jakbym sobie życzył; w drodze....

— Ale tu wszystkiego aż zanadto — rzekł baron siadając.

Herbata w chwilę była gotową, a Ocieski sam do niej w białych posługiwał rękawiczkach. Musimy wyznać że się to wszystko bardzo pańsko odbyło, i zdawało się wielkie na baronie czynić wrażenie.

Baron Hormeyer okazał się w bliższych stosunkach człowiekiem istotnie wielkiego świata, znał doskonale co tylko było w Polsce i w Niemczech znakomitszych

familij, wybornie pamiętał węzły je łączące z sobą. Z rozmowy można się było domyślać, że poufale przestawał ze znakomitszemi dygnitarzami państwa rzymskiego, bo się jakby mimowolnie wygadał, że bywał u Lobkowitzów, u Metternich'a, u Lichtensteinów, u Esterhazych i t. p. Mówił po francuzku, po niemiecku, po włosku i po angielsku; zdrowo i umiarkowanie sądził o polityce europejskiej, i żadna współczesna nowość nie była mu obcą. Pomimo położenia jakie prawdopodobnie zajmował na świecie, bo się także wygadał, że służył przy cesarskim dworze austrjackim, nie mówiąc w jakim wydziale, domyślał się jednak Sylwan, że w dyplomacji, baron był nadzwyczajnej pokory i niesłychanej uniżoności i grzeczności. Nieustannie powtarzał o swej małości, lubił dodawać co chwila, że nieznaczącą miał rolę na świecie, i zdawał się umyślnie zniżać, ażeby go podwyższono.

Tem dziwaczniejszem to było, że obok upokorzeń tych, co kilka słów prąd rozmowy przynosił mu na usta wspomnienia życia spędzonego na niepośledniej stopie w świecie, którego inni nie dosięgają tylko pragnieniem i zazdrością, że z dziurki u fraka ukazywały się wstążeczki, a na cygarnicy nawet herb baronowski był dobitnie bardzo wypiętnowany.

Sylwan rad się był czegoś od barona dowiedzieć, ale Hormeyer choć mówił wiele, poufale, choć tu i owdzie błysnął swojemi stosunkami, tak jakoś umiał swe wyznania pokierować, że z nich żadnego wniosku, żadnej całości skleić nie było podobna. Wszystko dowodzić się zdawało że był bogaty, a jednak naprowadzony na dobra, o posiadłościach swych nie wspomniał; rozpowiadał o książęcych i hrabiowskich domach, a do

pokrewieństwa się z niemi nie przyznawał; zagadnięty o cel podróży, zbył Sylwana ni tem ni owem; słowem, choć pozornie dobry człeczek i gaduła, miał prawdziwy talent nie wygadywania się nad zamiar i potrzebę.

Podano herbatę, zapalono cygara; baron sypał komplementami, prawił anegdotki dworskie, o kraj się rozpytywał, i nawzajem z Sylwana ciągnął co tylko było można. Młode hrabie zbrojne było i przygotowane do tego: paplało, rozpowiadało, kłamało i odgrywało rolę swoję z pozorem szczerości, trzpiotowatości, wywnętrzenia, któryby był rozradował starego Denderę, gdyby swego potomka mógł podsłuchać. Niby nieumyślnie wspomniał z kolei mówiąc o gospodarstwie, wszystkie klucze, wsie i przysiołki ojcowskie, wyliczył swych najdroższych krewnych w rodzinach trochę arystokratyczniejszych, z przywiązania zapewne zbliżając stopnie kuzynowstwa z niemi, wydał się ze swem znudzeniem na wsi, z tyranją ojca surowego i skąpego, i z mnóstwem rzeczy, których mu do obrazu, jaki chciał przedstawić, potrzeba było. Baron się rozruszał także, podsycał rozmowę, potakiwał uczuciom, chwalił zamiary, ekskuzował płochostki i przyszedł do zupełnej poufałości z Denderą, który śmiał się w duszy pewien będąc że go złapał.

A że w dobrze urządzonym dworze i słudzy wiedzą, czem się przypodobać panu; gdy się to działo w izdebce, Ocieski naprzeciwko spowiadał kamerdynera barona przy szklance herbaty z rumem, a kozak badał sługi paląc fajkę przy powozach. I gdy po dosyć długiem posiedzeniu, Hormeyer wyszedł na spoczynek, Ocieski pospieszył z raportem do swego pana. Z porównania z tych źródeł pochodzących wiadomości, z zadziwieniem

hrabiego i Ocieskiego pokazało się, że ani mniej ani więcej, tylko tyle dowiedział się Sylwan w pokoju, co kamerdyner u żyda i kozak w sieni. Wprawdzie zgoda była doskonała i informacje wybornie się schodziły, co ich prawdziwość potwierdzało, ale nikt nie wygadał się na włos więcej.

Ocieski tylko z natury postrzegacz, bo słudzy wszyscy żyjąc z panami, nieprzypuszczeni do ich życia, muszą usiłować je odgadnąć, zrozumieć, wtajemniczyć się w nie, i przez tę pracę ciągłą nabywają wprawy w poznawaniu ludzi z zewnętrznych cech charakterów; schwycił nieco żywych rysów w sieni, w rozmowie panien z któremi się już zapoznał, z obojętnych na pozór rzutów oka. Opowiedział on Sylwanowi, że młoda osoba, której imię było Ewelina, zdawała się główną i panującą wśród tego dworu postacią, około której żądań, zachceń i rozkazów obracali się wszyscy na palcach; że dama dodana jej do towarzystwa musiała być tylko pierwszą jej sługą, że baron nawet chodził przed nią z bojaźnią, z uszanowaniem z troskliwością więcej niż ojcowską. Nie słychać było jej głosu, nie widać jej wcale; ledwie wysiadłszy z powozu zamknęła się w swoim pokoju, podano jej tam herbatę, wieczerzę, posłano zaraz, i ze światła tylko w oknie można było wnosić, że czuwała, ale cisza była zupełna.

Zawiodła trochę nadzieja Sylwana, sądził bowiem robiąc przygotowania do swych postrzeżeń, że baronówna obierze sobie pokój stykający się z jego ciupką, a tu zainstalował się sam ojciec, i szlafrok jego aksamitny przez przygotowaną dziurkę postrzegł nasz podróżny, a kaszel tylko usłyszał.

Nazajutrz rano nie czekając nim się Galicjanie wybiorą, bo ludzie ich zapewniali Ocieskiego, że ledwie o dziesiątej wyruszyć będą mogli, Sylwan pocichu się upakował i wyprzedzając ich tęgim kłusem, puścił się na gościniec.

Rzućmy go na chwilę obładowanego nadziejami, domyślającego się miljonów baronówny, rozważającego piękność jej oczu i tworzącego sobie zawczasu świetną przyszłość przy dworze austrjackim, a wróćmy na wieś do dawniejszych znajomych.

Po powrocie z Denderowa Wacław wieczorem pojechał konno do Wulki, i odetchnął ożywiony spokojnym, niewinnym, pogodnym uśmiechem Frani. Na ganku tylko spotkała go maleńka burka od Brzozosi, która posłyszawszy tętent zdaleka, wybiegła z motowidłem i szpulką naprzeciw Wacława, i zaczęła łajać go od bramy. Trzeba wiedzieć, że dwa całe dni nie mógł być w Wulce narzeczony, i to srodze oburzało pannę ciwunówne, która nie mając nic do roboty, domyślała się, że Frania musi się niepokoić, że płacze po kątach itp. Zdawało się jej nawet, że mniej przez tę parę dni jadła, a to już było dla niej znakiem tak groźnym i przepowiednią tak straszną choroby, suchot, wycieńczenia, że winowajcy tego darować nie mogła.

— A to śliczny narzeczony! — poczęła machając motowidłem i plącząc nici — a to śliczny mi kochanek! Dwa dni nie był, mieszkając jak kijem przerzucić! E! e! niech pan mi nic nie gada, co tu się ekskuzować! A panna Franciszka we łzach cała, nie je, nie pije, siedzi tylko w oknie i wygląda; a co zahuczy,

to wyskoczy, myśli że jej bohdanek; co zagada, podsłuchuje czy nie on! gdzie tam. Jużciż to proszę p. hrabiego... jak Boga mego kocham... niegodzi się! niegodzi....

— Ale panno ciwunówno dobrodziejko!

— E! ciwunówna nie ciwunówna, pan mnie tem nie przekupisz, gniewam się na pana!

— Czyż pani wątpisz o mnie? — z żalem odezwał się Wacław.

Głos jego tęskny wnet rozbroił Brzozosię, której się żal zrobiło, że tak srogo wzięła się do niego.

— No! no! cicho! cicho! A nie byłeś pan chory?

— Nie, ale miałem interesa...

— Co tam interesa!... Pewnieś pan głodny...

Wacław się rozśmiał spiesząc do Frani, a Brzozosia biorąc milcznie jego za potwierdzającą odpowiedź, pewna że z głodu umiera, wleciała wszystko roztrącając do kuchni, wołając pospiesznie:

— Magda! Magda! kurczęta, zrazy, kasza, kartofle, jajecznica! Magda! ale gdzież Magda!!

Magda stała wprawdzie przed ciwunówną w gotowości z warząchwią w ręku, ale jej Brzozosia nie zobaczyła zrazu, tak się niecierpliwiła, że natychmiast wieczerzy podać nie może.

Stary Kurdesz, który tylko co skończył był pacierze, w ślad za Wacławem wszedł do pokoju Frani, i trafił na tłumaczenie się przybyłego.

— Proszę mi darować, żem przez te dwa dni znaku życia nie dawał; nie spodziewałem się, żeby to miało niepokoić Franię.....

— Patrzajcie zarozumialca — zaśmiał się stary — a któżto waści hrabio powiedział, że się niespokoiło? przecież ma rozum i przyszytego do sukienki trzy-

mać nie będzie!

— Ale Brzozosia...

— A! Brzozosia, także mi asindzij mów — rzekł Kurdesz — ta zawsze jakąś bajkę spleść musi.

Jak naumyślnie na te właśnie słowa nadbiegła ciwunówna, szukając wszędzie kluczów, które jej u pasa brzęczały, i dosłyszała że ją obmawiano. Stanęła, załamała ręce i tragicznie zawołała:

— Otóżto wdzięczność! Ja tu sobie głowę dla nich łamię, a tu mnie szkalują... Jakto bajkę splotłam? a toż Frania dwa dni już pieczystego nie je, a wczoraj zupy ledwie pokosztowała! Alboto ja się na tem nie znam?! Ale co ja powiem to zawsze bajka, a w końcu zawsze stanie na mojem... Kiedy tak, róbcie sobie co chcecie, ja się już więcej do niczego nie mieszam. Ale gdzież klucze i gdzie klucze?... Człowiek, jak Boga mego kocham, głowę traci. — I poczęła przerzucać co napadła na krosienkach, na stole, na kominie, gdy Frania podbiegła pocichu i szepnęła jej wskazując, że zguba była u pasa.

Ciwunówna postrzegła swoje roztargnienie, ale się do niego nie przyznała.

— Ot! patrzajcie — zawołała wybiegając — zatrzęśli, zagubili, a potem mi do pasa przypięli... Nibyto ja nie wiem, że ich nie miałam od południa; a potem powiedzą, że ciwunówna głowę straciła!

Wacław tymczasem zdawał ścisły rachunek z owych dwóch dni straconych Kurdeszowi i Frani, której różową rączkę całował z uczuciem; a gdy przyszło do owego dnia ostatniego w Denderowie, musiał po raz pierwszy pokryć milczeniem godziny spędzone z Cesią, rozmowy z nią i przykre uczucie, jakie mu po nich zo-

stało. Pocóż niepokojem karmić miał to serce czyste, pełne wiary, któreby może zadrżało na widok choć urojonego niebezpieczeństwa?

Kurdesz wysłuchał sprawozdania spokojnie, a gdy szepty ciche dokończyły rozpoczętej głośnej rozmowy, odezwał się powoli:

— Mój hrabio, powiem ci, zawsze to dla mnie ciężka rzecz, żeś ty hrabia i że jedną nogą stoisz poza naszym światkiem szlacheckim.

— Ale ja w nim jestem sercem całem.

— O! wierzę, ale czasem jedna noga później i serce pociągnie za sobą... Ot, mówili i gadają filozofowie, że to urojenie ta różnica stanów; ja nie wiem, ale tak jak to jest dzisiaj, nicpotem piąć się do góry, albo na dół schodzić... Zawsze mi markotno, że asindziej, panie hrabio, do tej magnaterji należysz!

— Gotówem się jej wyrzec najchętniej!

— Tak! gdyby to było podobna; zdaje się to rzecz łatwa, a sprobujże — ani weź! Naprzód nie można i nie godzi się zrywać stosunków familijnych, a gdyby się je rozplątało nawet, nigdy z nich całkiem wywinąć się nie można; powtóre na tym, kto z młodu otarł się o panów, pozostanie zawsze coś, co go od nas odróżni... potrzecie — dodał stary — ot źle i po wszystkiem, bo asindziej, panie hrabio, nigdy naszym być nie możesz!

Wacław się oburzył.

— Panie rotmistrzu! zawołał — alem ja do tego świata i nie należał, i nie należę, i należeć nie pragnę. jestem hrabią bardzo świeżo, i śmieję się z tego tytułu jak z cudackiego stroju, któryby na mnie włożono; godziż się tak mnie martwić i przypominać to co nie jest winą moją?

 4*

— No! no! cicho licho! jak chcecie. A panna Franciszka co na to?

— Ja, kochany ojcze — żywo odezwała się córka — wierzę zawsze w to co mi mówi Wacław, i gdyby mi kazał być spokojną wśród największej boleści, jestem pewną że cierpiećbym przestała.

Wacław przykląkł i pochwyciwszy ręce Frani, okrył je pocałunkami.

— Dziękuję ci! — zawołał z serdecznem przejęciem — stokroć, tysiąckroć ci dziękuję! Zrzucam hrabstwo moje na progu waszym, wyrzekam się go, wdziewam szaraczek, a bądźcie pewni, że w tej piersi bije serce szczere, gorące i synowsko do tego dachu przywiązane.

Stary Kurdesz zbliżył się i w milczeniu ucałował go w głowę.

— No! no! żartowałem, bredziłem i przepraszam — rzekł wzruszony. — Siadaj panie Wacławie!... A kiedy pojedziesz do Warszawy?

— Choćby nigdy!

— Tak, ale i interes tego wymaga, i ja proszę, i wiedz żem to dał za warunek, żebyś się lepiej poznał z tem czego się dla nas wyrzekasz.

— Dobrze ojcze, ale pozwolisz mi to trochę odłożyć?

— Odłożyć można a spełnić potrzeba. Hrabia Sylwan pojechał przodem, asindziej za nim; jednakowo pewnie się tam bez twego sukursu nie obejdzie.

— Pojadę później, gdy go zapotrzebuje..

Znowu weszła Brzozosia, która widać trochę podedrzwiami podsłuchiwała, znać to było po jej ruszaniu ramionami; i choć się niby do niczego mieszać nie miała, od wszystkiego umyła ręce, wybuchła jednak natychmiast:

— Po co jemu do Warszawy?! — zawołała — za pozwoleniem rotmistrza, czy się to godzi? Alboto nie ma za co posłać adwokata, kiedy jest interes?...

— Przez posły wilk nie tyje — rzekł uśmiechając się rotmistrz.

— A co mnie tam do wilka, kiedy tu Frania schudnie! To gorzej, spodziewam się. Po co go wyprawiać? Jak Boga kocham, że ja teraźniejszego świata nie rozumiem, a rotmistrz też nadto bierze na rozum. Do czego to? po co to?

— A możeby wódki i piernika tymczasem? — przerwała sobie nagle, przypomniawszy że Wacław mógł być głodny.

Rotmistrz rozśmiał się na całe gardło.

— Co? i to im już śmieszne? No! patrzajcie!!

— Dawaj kochana ciwunówno, dawaj — przerwał Kurdesz — starej wódki i piernika! Kolacja za pasem być musi.

— Tylko co była za pasem — odparła Brzozosia — bom ledwie klucze znalazła, które mi ktoś za pas wetknął, i dopierom wydała ze spiżarni; kiedyto żadnego nie ma ładu i wszyscy rządzą... Gdzie kolacja! gdzie! Magda zamiast co ma robić, to jak puści języka, a jak zacznie dziwolągi na mnie wyplatać przed czeladzią!... Ale jakże ma być inaczej, kiedy pan rotmistrz nigdy mojej strony nie weźmie?

— Kochana panno ciwunówno! w jakim dziś jesteś humorze? — rzekł Kurdesz. — Ot! dawaj wódki lepiej, a Magdzie jutro damy *pro sempiternam memoriam.*

— Pfe! co pan pleciesz, panie rotmistrzu? Alboto ja chcę ludzi katować?!

— Ale cóż powiedziałem?

— Niby ja po łacinie nie rozumiem!

— Mówiłem tylko, że jej damy na wiekuistą pamiątkę.

— Proszę mi już nie tłumaczyć.

Wszyscy potrosze się śmieli; a Brzozosia otworzywszy szafkę, dobywała tymczasem z niej flaszy i łakoci, aby Wacław z głodu nie umarł, nim wieczerzę podadzą, sama zaś stanęła na egzekucji przy nim dopilnować jedzenia.

— Jedzno pan, jedz! — wołała — bo ja to wiem co to te hrabiowskie, choćby i w Denderowie przyjęcia; po pańsku! po pańsku! półmisek jak na wołu, a potrawy gdyby z wróbla... Ślicznie! pięknie! a do gęby wziąwszy nie wiedzieć co z tem zrobić, czy połknąć, czy wypluną? A jak wstaniesz od stołu, toś taki cienki jak kiedy siadałeś. Dlatego też te paniczyki i panienki ich jak pajęczynka: drzwiami stukną, walą się z nóg; wiatr powieje, fluksja; zjedzą trochę, choroba gotowa... Ja to wiem, ho! ho! to nie po naszemu, po szlachecku!

Brzozosia była w takiem usposobieniu, że byłaby mówiła i mówiła bez końca, gdyby nie obawa o wieczerzę i nie chętka pogryzienia się trochę z nieposłuszną Magdą, której zarzucała, że zawsze chce swoim nosem robić wszystko. Wybiegła więc ciwunówna znowu, a rotmistrz zamyślony, dał się wyszeptać Wacławowi i Frani, uciekłszy gdzieś przeczuciami, niepokojem, czy wspomnieniem.

Tak cały wieczór zszedł im rozkosznie na rozmowie z sobą, na wesołym śmiechu z Brzozosi, coraz nowe dającej do tego powody, a Wacław ani się opatrzył, jak na zegarze północ wybiła; i zerwał się dopiero,

gdy Kurdesz dla sprawdzenia chodu swego pektoralika dobył go z za kapoty. Obiecano sobie zjechać sie nazajutrz w Smolewie na mszy, i rozstali się oboje weseli, z spokojnem sercem, jak gdyby ponad ich szczęściem nie krążyło czarne oko Cesi, i nie biło pełne żądzy i zemsty jej serce...

Zaledwie Wacław powrócił do Palnika i rozmarzony usiadł na chwile do fortepianu, gdy wpadł z łoskotem służący, oznajmując mu, że przybiegł posłaniec ze Smolewa od księdza Warela, który późnym wieczorem wracając od chorego, wywrócił sie, spadł z wysokiego mostu i mocno się potłukł, tak że mu niebezpieczeństwo groziło. Wzywał on Wacława, chcąc go pożegnać, bo jak mówił posłaniec ze łzami, nie spodziewał się dożyć do rana. Nie zwłócząc ani chwili, Wacław siadł na konia i poleciał na złamanie karku do Smolewa.

Zdaleka zaświeciła mu z za obnażonych drzew uboga, pochyłona plebania wszystkiemi okienkami swemi, zwiastując nieszczęście, które do niej niespodzianie zajrzało. Cichy szmer dochodził uszów o staje, i mimo nocy, na drodze, w dziedzińcu, przed drzwiami, snuły się i roiły postacie ludzi spieszących z ubogiego domku, lub dążących do niego. Na ganku, w sieni, w pokoju, wszędzie pełno było wieśniaków; kto tylko zasłyszał o nieszczęściu księdza Warela, tego ojca biednych, biegł się dowiedzieć do niego, spieszył płakać nad jego cierpieniem, chciał mu czemś być użytecznym. Lekarza przyniesiono prawie na rękach, byłto znajomy nam pan Szturm, który jak zawsze i tu naprzód zaczął od upa-

trzenia największego niebezpieczeństwa; ale na ten raz nie mylił się i nie udawał, bo ono było istotne i groźne.

Pod oknami plebanji, u ścian jej pochyłych, przysłuchiwali się i przypatrywali ubodzy tęskno, smutno, niespokojnie, chcąc pochwycić słowo, chcąc choć zdala zobaczyć jeszcze swego dobroczyńcę. Wewnątrz w pierwszej izbie zastał Wacław prócz zapłakanej Doroty i doktora Szturm, zajętego przygotowywaniem lekarstwa z miną zamyśloną i poważną, starego Kurdesza, który tu po nocy swoją bryczyną przyleciał, i dwóch jeszcze czy trzech bliższych sąsiadów. Ubodzy wchodzić nie śmiejąc, zaglądali ukradkiem, dopytywali się Doroty, przesuwali się na palcach i płakali. Ten, który wiózł księdza Warela, sam niebezpiecznie potłuczony, bo wpadł między konie, nie dawszy się opatrzeć, siedział skulony pod ścianą i płakał, przeklinając nieszczęsną godzinę.

W pierwszej izbie paliła się jedna świeca, nieobjaśniona, ledwie mdłe światełko na cichy i ponury ten tłum rzucając; w drugiej na łóżeczku leżał ksiądz Warel, straszliwie pokaleczony, pogruchotany, obwiązany cały bandażami krwią zbroczonemi, modlący się głośno i wyraźnie jeszcze przed krucyfiksem, który trzymał w ręku. Twarz jego była pochylona ku niemu, wzrok weń wlepiony, ręce załamane, a niekiedy boleść nie mogąc z piersi jego dobyć krzyku, zmuszała go tylko do martwego i długiego milczenia, straszniejszego może od jęków... Przezwyciężywszy cierpienie, poczynał znów osłabionym głosem szeptać pacierze. Wikary modlił się klęcząc u nóg jego.

— Księże wikary! — rzekł Warel po chwili przestanku — proszę cię, żeby tam tego biedaka pan Szturm był łaskaw opatrzyć.

— Opatrzono go.

— Ale wierz mi, że dotąd nie jeszcze. Ja to widzę, ja czuję, że cierpi, że się go nikt nie dotknął; nie będę spokojny, póki tego nie uczynią.

Wikary wstał, poszedł, szepnął coś na ucho lekarzowi, który głową i ramionami z niedowierzaniem poruszył i wziął się nareszcie do biednego budnika.

— Księże Jerzy — zawołał po chwili chory — żeby tym poczciwym ludziom co przyszli czuwać nademną, chleba nie brakło, żeby ich przyjęto, żeby nie byli głodni: pójdź do Doroty, poleć jej to odemnie.

— Dorota oddałaby im do ostatniej prószynki, ale żaden z nich nie myśli o chlebie: płaczą...

— Poczciwi ludzie, poczciwi. A! a! potrzeba umrzeć, Wacławie — rzekł zwracając się do przybyłego — ale śmierć nie straszna, moje dziecię, śmierć, to tylko koniec walki.

— Mój księże Jerzy — dodał niespokojnie zwracając się do wikarego — zrób o co cię prosić będę, dla miłości mojej.

— Wszystko co rozkażesz ojcze.

— Znajdziesz tam kilka rubli po mnie: oddaj je ubogim, suknie ubogim, książki zostawisz sobie, krucyfiks odeślesz bratu mojemu do Inflant z datą śmierci... i...

— Ale ty ojcze nie umrzesz! — przerwał mu wikary — pan Szturm czyni nam nadzieję.

— Coto mówisz bracie: ja lepiej od Szturma wiem, że umrę! Spowiedź już odbyłem przed tobą, jeszcze mam jednę do spełnienia nim zamknę powieki. Z wielkich grzechów publicznych co ludzi gorszyły, z uczuć zbrodniczych z któremi się walczyło: spowiedź powinna być publiczną, jawną, głośna, jak w pierwszych

chrześcjaństwa wiekach.

— Mój Boże! czyż ty ojcze mógłbyś sobie co podobnego wyrzucać?

— Zobaczycie dzieci moje — odparł spokojnie ks. Warel — chce Bogu na ofiarę złożyć i tę, jaką miałem u świata opinią świątobliwości, może mi za to Bóg grzechy przebaczy... Wszystkich tu do mnie poproście.

— Ale mój ojcze... Bóg takich ofiar nie wymaga.

— Bracie Jerzy, w imię Chrystusowe zaklinam, uczyń jak proszę.

— Lecz gdybyś nie umarł, pocóżto ojcze?... Daj się uprosić!

— Że umrę wkrótce, Bóg mi dał pewność: cierpię mocno, jestem potrzaskany w kawałki. Spiesz uczynić co żądam, bo mnie gorączka schwycić może i odbierze przytomność. Szturm niewiele obiecuje; pożyje godzin kilka, ale bez pamięci, to będą chwile stracone.

Ks. Jerzy wstał powoli i wyszedł do pierwszej izby smutny, zafrasowany, prosząc do łoża chorego wszystkich przytomnych. Ruszyli się po cichu, stanęli u drzwi, a ks. Warel głosem jeszcze dość silnym i wyraźnym, tak począł z powszechnem zdumieniem:

— Pozwólcie bracia moi, by się wielki grzesznik wyspowiadał przed wami z występków swoich i prosił was o modlitwę za duszę; pozwólcie, by wam na sobie wszechmocność Bożą i silną prawicę Jego pokazał, abyście nigdy nie wątpili o Bogu.

Za młodu — rzekł odetchnąwszy ciężko — byłem wietrznikiem i niewiarą. Doszedłem lat kilkunastu nie mając wyobrażeń religijnych żadnych; wychowali mnie ludzie z nich ogołoceni, ludzie obałamuceni nauką szkodliwszą od zabobonnej nieświadomości. Stryj mój

wychował i mnie i brata mojego sposobiąc do świeckiego życia, po męzku, chłodno, nie przypominając nam nigdy tych wielkich i świętych zasad, ofiary, miłości, ujarzmienia siebie, na których spoczywa moralność chrześcjańska. Dogmatów tylem wiedział, ile ich przypomnieć mogą święta obchodzone dla zabawy i kalendarz przeglądany dla potrzeb światowych. Uczucia religijnego nietylko nie miałem w sobie, alem go w drugich nie pojmował, alem mu nie wierzył; śmiałem się sceptycznie z towarzyszów szkolnych, a sam bez żadnej iskry wiary, jeszczem ją w drugich szyderstwem wypleniał.

Ale Bóg wielki! Stryj mój umarł, brat starszy poszedł się na świecie dobijać majątku i sposobu do życia: ja, żem nie smakowal ani w nauce, ani w wojaczce, ani w pracy ręcznej rolnika, nie wiedziałem co począć z sobą; i raz, gdy mi jakiś protestant szydersko jako próżniakowi raił suknię mniszą i klasztor, usłuchawszy tej rady żartobliwej, bez najmniejszego powołania, dla chleba wstąpiłem do seminarjum.

Wdziać tę suknię czarną i świętą dla żywota doczesnego jest grzechem, włożyć ją z niewiarą w sercu jest świętokradztwem: obojem to popełnił niebaczny... Ale Bóg wielki! Bóg wielki! Przez cały ciąg studjów które mi szły dość łatwo, nic nie wstąpiło w głąb serca mojego: sprawowałem się uczciwie, uczyłem dobrze, ale żaden obrzęd, żadna książka, żadna natchniona z kazalnicy nauka nie znalazły przystępu do zamkniętej mojej piersi. Cierpiałem tylko nie wiedząc co mi jest, i przypisywałem to znudzeniu.

Przeszły nareszcie lata nauki, zbliżyła się chwila wyświęcenia.

Nie wiem czemu, zrana dnia tego zapłakałem, alem w nic jeszcze nie wierzył: na zepsutą, zeskaloną ziemię serca mego ziarno wiary padając spruchniało, i niepłodne tylko wydało kąkole.

Przybrany w szaty kapłańskie, przystąpiłem do ołtarza z świętokradzką obojętnością, z występnym żalem po świecie, któregom wyrzec się musiał.

Tu głos w piersiach wstrzymawszy chory, po chwili dopiero mówić począł:

— Ale Bóg widać chciał na mnie ukazać przykład swej potęgi. Zostałem kapłanem bez wiary, a ledwiem od stopni ołtarza odszedł, uczułem jakby mnie silna, nieprzemożona chwyciła władza, a głowę i serce ucisnęło uczucie przestrachu jakiegoś i niewoli. Ręka Boża spoczęła na mnie niegodnym. Nie miałem jeszcze w sercu wiary, a Bóg wybrał mnie nędznika na apostoła swego i obrońcę, jakoby chciał rzec do zbuntowanego sługi:

„Mimo woli twej służyć mi będziesz, zmuszę cię byś był moim.“

Odtąd ta siła niepojęta, którą czułem nad sobą, zamknęła mi usta, owładła niemi i obracała myślą moją jak chciała. Nie mogłem powiedzieć tego co mnie dręczyło: mówiłem to, co mi siła Boża dyktowała. Sam bez wiary, musiałem żarliwie stawać w jej obronie, nie wiedząc zkąd do tego brałem dowody i słowa, których w mej duszy nie było. Myślałem co innego, co innego mówić byłem zmuszony; gromiłem małowiernych, nawracałem obojętnych, katechizmowałem nie swoją, ale obcą, Boską, niepojętą mi władzą, która mnie uczyniła niewolnikiem i sługą.

Ten dziwny stan trwał do połowy życia mojego; czułem jeszcze chłód i niewiarę w sercu, a na ustach

w sprawie religii znajdowałem dowody niezbite, które nie ze mnie pochodziły, ale szły tylko przezemnie. Na większe upokorzenie moje Bóg mi dał uczucie mojego upadku, a pozory cnoty; byłem cnotliwym mimowoli, jakem był gorliwym mimo siebie.

Ta nieustanna walka dwóch myśli, dwóch ludzi we mnie, zgięła mnie i złamała okrutnie: nie byłem panem siebie, żyłem rozdarty na dwoje. W rozpaczy począłem się nareszcie modlić o nawrócenie; ale nie zaraz, nierychło Bóg mnie wysłuchać raczył.

Dziwne przebyłem koleje; nie wiem, czy kto żył życiem podobnem. Wewnątrz ta susza, ten chłód niewiary, co wszystko warzy czego się dotknie, myśli najwznioślejsze, nadzieje najpiękniejsze, czyny najcnotliwsze; lecz nigdy to, co kalało duszę moje, wynijść przez usta nie mogło, nigdy nikt nie posądził mnie o fałszywość, bom był pod panowaniem ręki Bożej, która mną miotała jak narzędziem. Stan mój przestraszał mnie i upokarzał. Wśród nieustannych wątpliwości i udręczeń, gdym o najświętszych wiary tajemnicach powątpiewał, gdym w duszy z nich szydził prawie; niechli kto w obec mnie odezwał się temi słowy, co krążyły w sercu zbolałem, natychmiast usta mi się rozwiązywały: broniłem prawdy, a w obronie jej znajdowałem naukę, wymowę, zapał, namaszczenie, i zdało się, żem mówił z głębokiego przekonania, bo słowa moje rumieniły się gniewem, żarzyły przejęciem, oblewały łzami. Tak, by mnie upokorzyć i ukarać Bóg rozdwoił mnie, stawiąc obok czem byłem i czem być mogłem i miałem; aż długie, niezmierne, śmiertelne cierpienie, za które ojcowską dłoń Jego błogosławię... wywołało przebaczenie, spokój i litość Bożą.

Te dwie rozbite części mojej istoty: jedna zbolała i stłuczona, druga odradzająca się i silna, nierychło poczęły się spajać i łączyć. Potrzeba było modlitwy, zrazu formą tylko będącej, potem rozpaczliwej i błagającej, uczynków, ofiar, udręczenia ciała, by Bóg świętokradzcy przebaczył i występnego podźwignął.

Nieubłaganego wroga nosiłem ciągle w sobie: już uśpiony, już rozbrojony, budził się często groźny, a jam padał na widok jego wołając:

— Przebacz mi Panie i usuń go odemnie!

W takich męczarniach zasłużonych, przetrwałem połowę życia. Bóg czuwał nademną cudownie; widząc nad sobą jego prawicę, upokarzałem się w bojaźni wielkiej, jak Mojżesz, gdy Go w płomieniach oglądał. To oblicze, jam je widział w sile Jego, nieustannie rozpostartej nademną. Wszędzie był ze mną prześladowca mój i obrońca, aż nareszcie znikły te wyziewy młodości, ta pozostałość grzechu, te męty obłąkania, i czysta zajaśniała jutrzenka; stałem się jednym w sobie, ułomną istotą, ale pełną wiary, której już nic naruszyć nie mogło. Byłem ocalony cudownie.

— O! bracia moi, wiary! wiary nad wszystko nigdy nie traćcie, bo jej niełatwo odzyskać, a kto lekkomyślnie naraża się na niepowetowaną szkodę, jest jak zuchwalec, co wśród prochów z iskrą igra bezrozumną.

Tu ustał ks. Warel, a przytomni mową jego przejęci jedni płakali, drudzy stali w zamyśleniu i zebraniu ducha, jakby się z trwogą modlili. Ks. Jerzy, po którego ogorzałem czole pot zbiegał kroplami, z oczyma spuszczonemi, rękoma załamanemi, klęczał u nóg i milczał modląc się też w duchu. Wielki przykład cnoty podnosił go od ziemi zachwytem.

Po chwili ks. Warel tak mówił dalej:

— Jednego poranku po świętej ofierze, ostatnia wątpliwość, cień niedowiarstwa ostatni, ostatnia myśl grzeszna uleciała ze mnie i uczułem się jakby nowym chrztem odrodzony, jako niewinne dziecię, jako ułaskawiony zbrodniarz. Wziąłem się do pracy, by wynagrodzić przeszłość, by wywdzięczyć się Bogu za łaskę nawrócenia. Znacie życie moje i nieudolne jego mozoły; proszę was, bracia moi, przebaczcie złe, przebaczcie słabość ludzką, niedoskonałość i wszystko, czem was zgorszyć mogłem mimowoli, a te słowa moje ostatnie zapamiętajcie, abyście w nich mieli dowód wielkiej mocy Bożej, która z niewiernego nawet może uczynić narzędzie zbawienia dla drugich; zapamiętajcie je, abyście mi nie przypisywali cnót, których nie miałem, świątobliwości której imienia włożyć nie jestem godzien. I módlcie się bracia za duszę moją, a jeślim komu zawinił, przebaczcie, a jeślim komu w czem usłużył, oddajcie mi modlitwą; a pielęgnujcie w sobie wiarę: bo wiara jest darem Boga, i nie nabędzie jej kto zechce.

Ustał znowu, a lekarz zbliżył się do niego, bo w słowach ostatnich zdawał się czuć głos gorączkowy, i coś oznajmującego, że chory ze stanu spokoju przechodził w egzaltacją szkodliwą. Jakoż wkrótce potem ksiądz Warel począł jęczeć jękiem, modlitwą przerywanym, i podniosłszy głos, zaśpiewał to, co tylekroć odmawiał u łoża konających.

Noc miała się ku schyłkowi, a nieruchomi tej sceny świadkowie stali przykuci do miejsca: jedni we łzach, drudzy w zdumieniu i strachu, lub ciekawi tylko i chłodni. Ubodzy duchem prostaczkowie całkiem nie zrozumieli tej spowiedzi, bo łzy słów im dosłyszeć nie

dały, a jęk ich własny głuszył wyznania chorego.

Gorączka, pomimo szybko przeciw powiększaniu się jej przedsięwziętych środków, rosła olbrzymio z każdą chwilą; pogruchotanie bowiem było tak gwałtowne i silne, a głowa sama tak potrzaskana, że doktor Szturm opatrzywszy ją, żadnej nie zostawił nadziei, co moment oczekując delirjum i śmierci.

Nie było więc chwili do stracenia, i korzystając z ostatków spokoju i przytomności, które jeszcze przerywały rozpaczliwy wysiłek organizmu, ksiądz Jerzy pospieszył do kościoła po Sakramenta. Wchodząc z Bogiem i olejami świętemi, ostatnim posiłkiem na podróż daleką, ostatniem błogosławieństwem na wieczności drogę, ksiądz Warel, pomimo stanu w jakim zostawał, jakby cudem na widok kapłana i hostji powstał z łóżka dźwignięty; o swej mocy, i ukląkł na pogruchotanych nogach.

Doktor nie mogąc pojąć tego wysiłku, krzyknął nań jako na cud: a była to potęga ducha, co martwym rzuciła głazem.

Lecz zaledwie modlitwy, komunia i namaszczenie się spełniły, chory jak bryła bezsilna upadł znowu na łoże, i w tejże chwili począł śpiewać psalm głosem słabym, ale dziwnie pełnym szczęścia i do łez rozrzewnionym:

— *Magnificat anima mea.....*

To uroczyste *Magnificat* zdawało się wychodzić z głębi grobu, tak pierś co go nuciła była rozbita i zesłabła; ale wyraz śpiewu był anielskiej słodyczy, szczęścia i uniesienia, byłto jakby głos z niebios, pieśń ptaka co się unosi coraz dalej ku słońcu, a nuci coraz słabiej, ciszej, ciszej, aż zupełnie ustanie.

Można rzec, że śpiew ten przeniósł słuchaczy w inny świat, w krainę nadziemską, i porwał z sobą aż ku wrotom niebieskim, bo gdy coraz słabiej konając ustawał i w niewyraźnym szepcie obumarł, zdało się im jakby na ziemię upadli. Nawet najtwardsi oprzeć się nie mogli temu niepojętemu uniesieniu; a doktor opowiadał, że czuł jak się w nim życie zatamowało na chwilę, zastanowiło, przerwało.

Gdy głos nareszcie przycichł zupełnie, wszyscy się rzucili do łoża: blask wschodzącego słońca padał różowy jednym promieniem na łoże, na którem ksiądz Warel z krzyżem w dłoni, wpoiwszy usta w nogi Zbawiciela, spoczął snem wiekuistym...

Głuche milczenie trwało długo, jak gdyby anioł, co tę świętą duszę unosił, przeleciał ponad ich głowami. Łzy tylko z oczu płynęły jedyną modlitwą, aż ksiądz Jerzy pierwszy głosem od łkania przerywanym rozpoczął:

— Anioł Pański....

Tak zmarł pleban Smolewa.

Skromny był pogrzeb ubogiego kapłana, ale go wiodły do mogiły tłumy rozpłakanego ludu, starców, których pocieszał; dzieci, które uczył; chorych, których leczył; ubogich, których wspierał, i wszyscy, co go tylko znali, szli we łzach za prostą jego sosnową trumienką do piasczystej mogiły na wzgórzu cmentarnem, gdzie sobie grób wyznaczył.

Gdy trumnę spuszczono w wykopany rękami przyjaciół dół głęboki, a ziemię na nią rzucać poczęto, jakiś zapał objął serca wszystkich: zapragnął każdy pamiątką

uczcić grób człowieka, co tyle cierpiał i tak wiele dobrego uczynił. Jakby iskrą elektryczną przebiegła po głowach myśl usypania mu mogiły, i gdy poczęto nosić ziemię, lud wszystek rzucił się, dźwigając ją w połach siermięg, czapkami, fartuchami, rękoma, tak, że w godzinę stanął wielki okrągławy wzgórek, a najgorliwsi do wieczora pracowali, dopóki go zieloną znad ruczaju nie pokryli darnią.

Jak niegdyś wodzom zastępów pogańskich wierni ich żołnierze sypali kurhany krwią oblane na obcej ziemi; tak teraz wodzowi Chrystusowych żołnierzy lud ze łzami naniósł mogiłę, a na niej prostym krzyżem wypowiedział całą historję tego człowieka, jego walkę, cierpienia, poświęcenie się i śmierć w pokorze i wierze, poniesioną na drodze posługi chrześcjańskiej.

Tymczasem Sylwan, w ślad za baronem i jego córką, niekiedy ich wyprzedzając, to znowu przyzostając nieco, tak, aby podróż jego nie miała pozoru jakiejś pogoni, posuwał się ku Warszawie. Znajomość zabrana z ojcem panny, która wróżyła coraz bliższe stosunki i obiecywała poznanie pięknej Eweliny, nie ziściła jednak powziętych nadziei; Sylwan sam pomiarkował wprędce, że zbyt natrętne przywiązywanie się do barona, jakiśby nań cień rzuciło, a baron pozostał w szrankach ulicznego zapoznania przypadkowego, które często odrazu bywa prawie poufałem, ale do niczego nie prowadzi i na niczem się kończy. Tak często znudzeni przybliżamy się w obcem miejscu, w teatrze, u wód, na przechadzce, do pierwszej życzliwie nam uśmiechniętej twarzy, do człowieka, który nam wskazał chustkę zgubioną lub podszepnął dobrą jaką radę: rozmawiamy z nim, kłaniamy mu się na ulicy; ale spotkawszy go w salonie, ani on nam, ani my jemu nie mamy już ochoty kiwnąć głową, zostając pod prawami społeczności, którą salon reprezentuje. Znajomość pana barona i Sylwana była tego rodzaju, do niczego nadal nie obowiązująca, a oba znać nadto byli dobrze wychowanymi ludźmi,

żeby w ten sposób się poznawszy, daleko z sobą zaszli. Sylwan korzystał tylko z podróży, i śledził zgadkowych przybylców sam przez się, przez Ocieskiego i kozaka, czy to razem popasywali lub nocowali, czy po baronie przybyli. Ale suma danych, które się w ten sposób zebrać udały, nie była wielka: wszędzie panna mało się pokazywała, baron milczał, słudzy chodzili na palcach, płacono z targiem, ale po pańsku, nie żałowano sobie niczego. Ocieski nawet dostrzegł dwie kute hebanowe szkatuły, które jak tylko wysiadano z powozów, wnoszono do pokoju Eweliny, czemu nie barona? nie wiemy. Jedna z nich miała, wedle kamerdynera, zawierać klejnoty baronówny; druga weksle i kasę podróżną. Sylwan raz tylko był tak szczęśliwy, że się podkradł pod pokoje zajmowane przez Galicjan, stanąwszy w przyległym, i z niego mógł doskonale robić postrzeżenia nad baronem i jego familją.

Zdziwiło go to niepomału, że w ciągu kilku godzin baron ledwie raz i to obojętnie zajrzał do córki, raczej z jakiemś uczuciem uszanowania, niżeli czułości rodzicielskiej; szepnął coś do niej, odpowiedziała mu nie podnosząc oczu, i wyszedł na palcach. Przez cały wieczór towarzyszka baronówny zajmowała się jej wygodami, urządzeniem pokoju, podaniem wieczerzy; a panna wsparta na ręku, w postawie nieruchomej, zobojętniałej, smutnej, siedziała przy stoliku. Wzięła jakąś książkę i czytała ją do późna, nie żeby ją zajmowała, ale widocznie dla odpędzenia dokuczliwej nudy. Sylwan przypatrzył się także jej prześlicznej twarzyczce, na którą padało światło dwóch świec zapalonych na jej stoliku. Cudną była, pełną wyrazu, ale na swą młodość dziwnie głęboki ślad wyryło na niej doświadcze-

nie; dziwnie była ostygłą, smutną obojętną; żeby choć uśmiech, żeby słowo weselsze, żeby dowód jakiej dla kogo czułości! Martwym siedziała posągiem, a przy dziewictwie tej twarzy, ta starość charakteru stanowiła niepojętą sprzeczność. Może płakała po matce, bo czarno była ubraną; może tęskniła po kim, bo częste tłumiła w sobie westchnienia; może ją ojciec wiózł mimowoli? A jednak baron mimo powagi nie miał wcale miny tyrana, a przy córce wydawał się pierwszym jej sługą, tak dla niej był uległy, usłużny, tak w niczem skinieniu jej nie śmiał się sprzeciwić. Sylwan, mimo niedoświadczenia i nieznajomości ludzi, postrzegł, uczuł, domyślił się, że jakaś tajemnica zamkniętą była w sercu dziewczyny, w piersi ojca; to go nawet ostudziło nieco, bo jak tylko tajemnica, coś w niej złego być musiało. Tak nawykł rozumować Sylwan.

Ale jak się jął rozpatrywać w tem co otaczało rodzinę, on, który całą *respectability* w groszu i jego użyciu mieścił; w wytworze jej dworu, powozów, usługi, w sposobie życia, w tysiącu fraszek, które znamionują wszakże sferę, do której człowiek należy, odurzył się Sylwan i powiedział sobie, że tajemnica ta nie była niczem innem, jeno jakimś smutkiem i ciężką boleścią.

Już za Lublinem, nocując w lesie w karczmie na pustkowiu, zaprosiwszy barona na herbatę i przekąskę, Sylwan miał zamiar cokolwiek go wybadać; na ten cel nawet myślał go trochę podchmielić, i kazał podać do zimnego mięsiwa *sherry*, *cognac* i butelkę dobrego *burgunda*. Baron dał sobie lać naprzód wódkę, potem wino, jadł, pił, śmiał się, dolewał sam sobie, do herbaty wziął rumu, namówił się na *clos-vou-geot;* ale od tego wszystkiego oprzytomniał tylko i rzeźwiej-

szym się zrobił. Sylwan wykręcając się od kieliszków, mimo to podchmielił nieco; a Galicjanin wstał od stołu, jakby parę szklanek wody wychylił. Co miał się wygadać, baron jeszcze Sylwana wyegzaminował; ale Wołyniak, acz cięty, z pozorną szczerością kłamał jak po trzeźwemu, z trochą tylko śmielszej przesady, o dobrach ojca, o znaczeniu rodziny, i t. p. A gdy młode hrabię chciało z kolei pociągnąć na konfessatę przybysza, od pierwszych zapytań siwak tak się zaciął, że zeń i pół słowa dobyć już nie było podobna, prócz dowcipnych żarcików i anegdotek.

Wyciągnięci na stołkach karczemnych, które dla wygody Ocieski poduszkami pookładał, ziewali nasi podróżni, gdy Sylwan jakby odniechcenia zaproponował karty. Baron się na nie zgodził zaraz i z ochotą. A że w podróżnych bagażach Sylwana, prócz win i wódek, cygar i tym podobnych zapasów było zawsze kilka talij kart na wszelki wypadek, przyniesiono je zaraz. Siedli do *ecarté*, po dukacie punkt, wedle projektu barona, który drożej grać się nie ofiarował. Dla Sylwana byłoto bardzo drogo; ale jak się wymówić udając wielkiego pana?

Baron dowiódł zaraz człowieka dobrego wychowania; grał jak anioł (wyrażenie Sylwana), spokojnie, zimno, a nadewszystko szczęśliwie; grywał z krwią zimną, a gracz doskonały i niezmiernie baczny. Koniec końcem Sylwan przegrał kilkanaście dukatów wesoło, i na tem się jakoś skończyło; o drobnostkę przyszło się rozegrać sztosa, i to wykonał baron zręcznie, gładko, a z wielką zawsze i pańską fantazją. Gdy przyszło się rozchodzić, Ocieski dostał kilka dukatów, i rozstali się w najlepszej komitywie.

Sylwan wszakże skrzywił się, obrachowawszy co go ten wieczór kosztował, a jak mało z niego korzystał; ale cieszył się i tem, że barona niejako zmusił do dalszych z sobą stosunków. Następnych dni kilka, bo się jakoś pomału do tej Warszawy wlekli, widywali się codzień. Baron już nie potrzebował wypytywać hrabiego, dobywszy z niego co tylko było można; hrabia zaś nie próbował ani poić, ani badać, przekonawszy się, że to się na nic nie zda.

Kilka razy udało się Sylwanowi spotkać piękną baronównę i zrobić z nią nawet rodzaj znajomości; ale panna nie zdawała się nań zwracać baczności: raz tylko utopiła w nim czarne swe ogniste wejrzenie, i więcej nie spojrzała. Cóż, gdy ten jeden postrzał jej oczu, zimnego Sylwana napełnił niepokojem i nieznanem mu uczuciem, żądzą, jakiej dotąd nie miał pojęcia! Może obojętność dziewczęcia przyczyniła się do rozognienia go jeszcze, ale nie mógł się już pozbyć tych czarnych źrenic, ziejących płomienie, sypiących iskier tysiące, które noc i dzień zdawały się nań patrzeć ze słońca, z chmur, z ciemności nocy, z każdej twarzy, z każdej strony. Sylwan śmiał się sam z siebie i łapał się na dzieciństwach niedarowanych zimnemu jak on człowiekowi, na przebiegach, podstępach, na młodzieńczych figlach, któreby nań raz jeszcze to czarnych oczu spojrzenie sprowadzić mogły. Ale baronówna jakby więcej nie ciekawa była go oglądać, już nie obdarowała ani uśmiechem, ani słowem, ani przelotnym rzutem oka. Sylwan gniewał się, zżymał, nic to nie pomagało; przyrzekał, że więcej na nią nie spojrzy, i za chwilę podkradał się w sieni, gdy do powozu wsiadała, aby ją raz jeszcze zobaczyć. Słowem, choć do tego przed

sobą się nie przyznawał, biedny Sylwan wypłacał dług młodości; był zakochany w najniebezpieczniejszy sposób, bo dwie na raz dotknięto w nim struny drażliwe: miłość własną, i miłość, której jeszcze dla nikogo nie doznał.

Widział on w życiu wiele kobiet, do wielu się już, nie tracąc czasu, wdzięczyć próbował, począwszy od podeszłej wdówki uróżowanej niemiłosiernie, która mu pierwsza dała o jego potędze najwyższe wyobrażenie, do gardorobiany mamy, z których kilka padły ofiarą jego zapałów. Kochał się niby w Frani Kurdeszance; ale to była pańska fantazja, miłość z projektu, a tu zupełnie co innego doznawać poczynał. Marzył, kłamał przed sobą, stawał się dzieckiem, tłumaczył Sylwanowi, że Sylwan w niepotrzebne wdaje się rzeczy i daleko zabrnąć może; naostatek już argumentował pocichu, że miłość jest uczuciem niepokonanem, że człowiek od niej oszaleć może, i największych dla niej ofiar nie skąpić. Z drugiej strony, baronówna już mu się mimo braku dostatecznych o rodzinie i przeszłości wiadomości, wydawała partją bardzo stosowną. Czego nie wiedział jeszcze, to bardzo zręcznie dokomponowywał.

Tak nareszcie baronostwo wprzód, on za niemi dojechał do Warszawy; a że nie miał ochoty stracić ich całkiem z oczu, postarał się, by w jednem z niemi stanąć hotelu. Baron zostawił to wyborowi pocztyliona, który Angielski zarekomendował; a hrabia wytłumaczył się przed sobą, że przyzwoiciej zajechać nie mógł. Galicjanie zajęli wielki apartament na pierwszem piętrze; Sylwan mniejszy, kawalerski, nieco wyżej. Tu jednak całkiem pozostać nie mógł, przybywszy na czas dłuższy do stolicy, musiał sobie szukać mieszkania odręb-

nego, które dzięki usłużności pośredników z izraelskiego plemienia, trzeciego dnia znaleziono mu na Nowym-Świecie. Byłto lokal umeblowany na pierwszem piętrze od ulicy, z pięciu pokoików złożony, wcale dogodny i ładny, ze stajniami, kuchnią, składami, i wszystkiem, czego Sylwanowi było potrzeba. Gdy mu się przyszło instalować i wynosić, hrabia przez grzeczność poszedł pożegnać pana barona. Choć apartament Galicjan bardzo był wspaniały i obszerny, sam Hormeyer cały prawie ustępując córce, przyjął Sylwana w maleńkiej ciupce od dziedzińca, wcale nie po pańsku urządzonej. Zdziwił się hrabia, znalazłszy tego tak dystyngowanego człowieka w izdebce ogołoconej ze sprzętów i wygódek, w której jedno skromne łóżeczko, stoliczek ze starym *necessairém* skórzanym, i mały leżał tłumoczek.

Baron przyjął go trochę zmieszany, wymawiając się że się nie urządził, i zaprosił go do saloniku. Tu zastali baronównę szybkim krokiem przechadzającą się po salce ze spuszczoną głową. Czy w lepszym była humorze, czy potrzebowała znajomej twarzy, czy nie wiem z jakiej przyczyny, ale spojrzała łaskawie na Sylwana, przywitała go, i pierwszy raz słówko do niego dźwięcznym wymówiła głosikiem, pytając, dokąd się z hotelu wynosi, bo baron wprowadzając gościa, oznajmił, że przychodzi z pożegnaniem.

— Wyszukałem sobie mieszkanie na Nowym-Świecie — rzekł Sylwan — śliczny kawalerski apartamencik; i państwu, jeśli dłużej bawić chcecie, życzyłbym pomyśleć także, by się wynieść z hotelu.

— Dlaczego? — spytała z roztargnieniem Ewelina.

— Dlatego — rzekł siadając Sylwan i obiecując sobie przedłużyć rozmowę — że hotel jako *pied à terre*

na chwilę, jest wyborny, ale *á la longue* nieznośny, a nawet dla ludzi *comme il faut* nieprzyzwoity.

Baron nic nie odpowiedział, spojrzał tylko na córkę, a Ewelina ruszyła ramionami obojętnie.

— Ale bo nie wiem jeszcze czy długo tu zabawimy — odpowiedziała. — A zresztą, to mi wszystko jedno...

— Mamy tu stosunki, znajomości, krewnych — dodał baron — naradzim się i coś postanowimy.

— Jeślibym w czem mógł być użytecznym? — zapytał Sylwan.

Ale Hormeyer ukłonił mu się z uśmiechem milczącym, dając do zrozumienia, że od nieznajomych osób taka ofiara jest dziwną, a przyjęcie jej byłoby nieprzyzwoitością.

— Pani nie uwierzy — odwrócił się hrabia do Eweliny — jak Warszawa jest miłą, jak się tu dobrze, ochoczo i wesoło bawią, ręczę, że skosztowawszy jej pani, oddalić się ztąd nie zechcesz...

Baronówna spojrzala nań, blady uśmiech, jakby politowaniem zaprawny, przebiegł jej usta, ale nic nie odpowiedziała.

Nadeszła owa dama, towarzyszka Eweliny, szepcąc jej coś na ucho; baron zbliżył się także do córki, a rozmowa rozpoczęta pocichu, zmusiła Sylwana do prędszego niż sobie życzył i zamierzał pożegnania. Baron zresztą był tak grzeczny, że na żądanie dozwolił mu się niekiedy odwiedzać; a Ewelina odchodzącemu rzuciła wejrzenie obojętne wprawdzie, lecz przenikające, bo oczy jej czarne, czarodziejskie czarne oczy, zimno spojrzeć nie umiały.

Pierwsze dni pobytu zajęły Sylwanowi odnawianie znajomości, rozwożenie listów, wyszukiwanie krewnych

wysoko położonych, proszone obiadki i herbaty, któremi kuzynka dla formy witano, tysiączne przygotowania do życia, sprawunki w sklepach, szycie sukien, prezentacje po pierwszych domach i wcielanie się w towarzystwo, w którem żyć pragnął. Wprawdzie i wpośród tych zatrudnień przychodziła mu na myśl piękna baronówna, ale zajęty sobą, trochę ją Sylwan zapomniał, a gdy po tygodniu czy więcej tej krętaniny zajechał do Angielskiego hotelu, już tam ani baronównej, ani barona nie zastał, bo, jak mówił szwajcar, wynieśli się byli do mieszkania najętego przed dwoma dniami gdzieś około ulicy Miodowej. Sylwan dopytywał różnych osób o barona Hormeyer z Galicji, ale mu nikt o nim nic powiedzieć nie umiał; dopiero po kilku dniach znowu spostrzegł na ulicy znajomą karetę, a w niej pana barona z Edziem X..., i w ten sposób trafił na nić, która go do celu doprowadzić miała.

Edzio X..., liczący się jeszcze do młodzie y, choć całkiem był łysy i połowę tylko zębów dochował, miał lat przeszło czterdzieści. Oryginalny był on w swoim rodzaju: widziany zdaleka, wyglądał na urwisa, hulaka, próżniaka i utracjusza, a w istocie nosił tylko na sobie suknię wieku i społeczności, wśród których się kręcił, wewnątrz wcale będąc odmienny. Nie miał on odwagi być sobą wobec świata, ale go świat nie popsuł całkowicie: słaby tylko, złym nie był wcale. Żaden może wiek tylą słabościami co nasz nie grzeszy, połowa win naszych z nich pochodzi. Braknie nam serca do wszystkiego, wzdychamy do cnoty, ale nie dźwigniem jej skaleczałem ramieniem. Z tego względu Edzio był prawem wieku dziecięciem, daleko gorszem z pozoru, niżeli w głębi duszy. Przebaczał grzechy ludzkie, to dobrze, pobłażał im, co mu daro-

wać było można; ale co gorzej, dzielił je, nie czując w nich smaku, przez niedołęztwo, przez obawe skłócenia się z ludźmi i naruszenia sobie spokoju. Edzio lubił pracę a nie pracował, bo się śmiano z pracujących, chyba ukradkiem i pocichu; lubił samotność a dawał się wciągać w nieustanne czcze zabawki próżniaków; szydził wzorem innych, choć nie miał usposobień szyderskich; udawał że traci grosz z bolem wydając na dziecińśtwa, gdy go wolał zachować dla podzielenia się z ubogim; słowem, grał rolę zepsutego i lekkiego człowieka, nie będąc nim wcale. Lenistwo, słabość, tchórzostwo, odziały go tą suknią tak dla niego niestosowną. Miano go nawet za jednego z najgłębiej popsutych ludzi, zwłaszcza pod względem stosunków z kobietami, choć Edzio raz tylko w życiu kochał, i raz nazawsze wszystkim paniom służył na pokrywkę ich trzpiotowatości. Tysiące mu przypisywano miłostek, o których mu się nie śniło. W tak przeciwnem swym chęciom i usposobieniu zajęciu, Edzio strawił młodość: wyłysiał, zestarzał, i nie nabrawszy odwagi być sobą, czemby już może teraz i być nie potrafil, wlókł się smutny do końca... Tymczasem świat miał go za jednego z tych szczęśliwych hulaków, którym żywot płynie złocistą strugą nasyceń, i wskazywał go jako bohatera salonów, jako kochanka najpiękniejszych pań, jako człowieka zobojętniałego, zimnego i zużytego, złamanego wszelkiego rodzaju rozkoszą. O! mylności sądów ludzkich! Ten bohater gotowalni i zielonych stolików, ten zwodziciel i lew stolicy, pokryjomu codzień klęczał godzinami w krużgankach Kapucynów na łzawej modlitwie, a gdy go złapano wychodzącego z kościoła, tłumaczył się że szukał tam pani M..., panny Z..., lub

jakiej świeżej gryzetki. Rola jego, którą raz przybrał i przez fałszywy punkt honoru utrzymywał, do poczciwej prawdy przyznać mu się nie dozwalała. Tak było we wszystkiem: gdy szedł wyszukać ubogiego którego wspomagał, dzieląc się z nim groszem ostatnim, myślano że na strychu odkrył czarne oko dzieweczki, wabiące go młodością i krasą świeżości; gdy stawał za przyjaciela lub ujął się za kobietą, rozpowiadano że się skłócił o karty, o aktorkę i t. p. Mało osób znało Edzia jakim był, cały świat przysiągłby, że takim być musiał jakim go sobie wyobrażono. Jak wszelkie życie walki, choć bezsilnej, smutny był los Edzia, boleścią wewnętrzną każdy dzień się w jego pamięci piętnował; ale z obowiązku swej roli, Edzio udawał wesołego i uśmiechał się do wszystkich.

Do tego biedaka, któremu tylu zazdrościło mniemanego szczęścia, pobiegł nazajutrz Sylwan z zapytaniem o barona. Edzio był mu już nieźle znajomy: zjedli razem kilka objadów, wypalili z dziesięć cygar, i zwali się po imieniu od ostatniego śniadania u Flateau, na którem pękło kilkanaście butelek szampana. Edzio X..., choć dosyć majętny, stał skromnie, i tyle jeszcze miał siły, że rzadko u siebie przyjmował, lubiąc się zamykać samotnie, raz tylko w tydzień dawał dla znajomych herbatę.

Sylwan, który koniecznie dostać się do niego pragnął, wybrał bardzo ranną godzinę i przebojem wszedł do jego pokoju. Edzio zmieszany szybko pochował książki które czytał pod poduszkę fotelu, dobył jakiegoś romansu, służącego mu na ten cel a nieprzerzuconego ani razu, i z tym lekkim pokarmem w ręku przyjął Sylwana.

— Trochem niezdrów — rzekł wymawiając się — z próżnowania wziąłem jakąś książkę do ręki.

— Przepraszam, że ci odpoczynek przerywam — zawołał śmiało hrabia — trzeba coś przebaczyć wieśniakowi. Chciałem cię zastać koniecznie.

— Siadaj, proszę: cygaro?

— Dziękuję, niedługo zabawię.

— W czem ci usłużyć mogę?

— Będę szczerym — rzekł Sylwan. — Jadąc tu do Warszawy, spotkałem się w drodze z jakimś baronem Galicjaninem i prześliczną jego córką. Przyznam ci się, że baron jak baron, ale cudna Ewelina niezmiernie mnie zajęła. Wczoraj spotkałem cię z nim w karecie, wiesz więc gdzie stoi? znasz ich? możesz mi coś powiedzieć?

Edzio spojrzał z uśmiechem na hrabiego i ruszył ramionami.

— Znam ich i nie znam — odpowiedział — stoją na ulicy Miodowej, około pałacu Paca. Baron miał do mnie list polecający od hrabiego Z... ze Lwowa; tyle o nim wiem tylko. Mój przyjaciel zaleca mi go jako bardzo dystyngowanego człowieka, dobrze położonego na dworze austrjackim, bogatego i mającego interesa w Warszawie. List zapoznał mnie z baronem.

— Ale któżto jest? — spytał Sylwan — obywatel galicyjski? wysoki urzędnik? jakie są jego stosunki?

— Wszystko to tajemnica — rzekł Edzio — wczoraj M... mówił mi, że zdaje mu się jakoby go w Wiedniu widział, ale sobie dobrze nie przypomina w jakiej roli i gdzie.

— Baron musiał ci się przecie nieco wygadać?

— Tyle co list — odparł Edzio — a przyznam ci

się nie byłem ciekawy i badać go nie chciałem.

— Widziałżeś baronównę?

— Widziałem.

— Bardzo ładna! prześliczna! nieprawdaż?

— Ładna, ale mi się tak bardzo nie podobała, jak na młodą osobę nienaturalnie jest dumną, obojętną i chłodną.

— Czy będą tu bywali? przyjmowali? Czy zabiorą jakie stosunki?

— Widzę, że baron tego pragnie; prezentowałem go wszędzie, dom najął obszerny i urządza go na pańską skalę. Myślę nawet że zamieszkają w Warszawie.

— Będę cię prosił, abyśmy tam kiedy razem być mogli — dodał Sylwan.

— Najchętniej! — pospieszył oświadczyć się Edzio.

Na tem skończyła się rozmowa, z której Sylwan niewiele się wprawdzie dowiedział, ale obiecywał sobie, że po nitce do kłębka prędzej czy później dojść musi.

W Denderowie po odjeździe Sylwana nic się nie zmieniło, nie czuć było nawet że ubył. Hrabia tylko sam wyprawiwszy go na to polowanie na żonę, już spokojniejszy zasypiał, rachując że z posagiem powróci, że synowa może swoją gotówką interesa jego poprawić, i nabrał większej otuchy, niecierpliwie o wyprawie oczekując wiadomości. Tak samo z drugiej strony zamążpójście córki za Farureja uważał spekulacyjnie za źródło, z którego coś wyczerpnąć był powinien; powoli nawet zaczynał zdaleka zaczepiać o to przyszłego zięcia, że nie dosyć intraty czynią mu jego dobra, że w ręku czynnego człowieka we dwójnasóbby robić mogły, i ukazywał dla porównania swoje majątki. Stary młokos uśmiechał się, ale nie zdawał się rozumieć do czego to zmierzało, cały zajęty ubóstwianą Cesią. Ubóstwiana zaś Cesia, która poprzysięgła, że Wacława upokorzy i do nóg swoich przywiedzie, pracowała pocichu jakby tego dokazać; dotąd bowiem wcale jej się nie udawało.

Bardzo jej było na rękę, gdy jednego wieczora hrabia przy herbacie oświadczył żonie i córce, że życzył sobie żeby się wybrały z wizytą do Wulki do Kurdesza. Dał za powód, że wkrótce Frania idąc za

Wacława stanie się ich krewną, że dla Wacława nawet tę grzeczność zrobić wypadało; a w istocie myślał tylko, jakby ująć starego szlachcica, nie wiedząc czem mu jego dwakroć zapłacić. Hrabina skrzywiła się bardzo na to rozporządzenie mężowskie, nie tając się ze swym wstrętem dla Wacława i obojętnością dla familii, ale Cesia żywo się tej myśli chwyciła.

— O! jedźmy! jedźmy! zawołała — od tak dawna jestem już ciekawa.... szczególniej tej tak pięknej Frani, w której i Sylwan się kochał, i Wacław za nią szaleje... Prosta dziewczyna, to jednak musi być coś osobliwszego czy pięknością czy rozumem... Hrabia parsknął śmiechem.

— Sylwan się w niej nie kochał, ale ją chciał bałamucić — rzekł stary dbały o honor domu — a co się tyczy Wacława, ten pokochać się mógł w pierwszej lepszej, tak mu było pilno... Dziwi mnie, że się nie żeni z twoją garderobianą...

Cesia potrząsnęła głową w milczeniu, hrabina nie protestowała głośno, nie sprzeciwiała się; wizyta była całkiem dla niej obojętną: hrabia jej sobie życzył, córka pragnęła, złożyć się więc musiało. Wyrządzając tak znakomity honor domkowi szlachcica, Dendera nie mógł nie pomyśleć też, jakby go trochę upokorzyć i dać mu poznać, jakato przestrzeń ich dzieli. Rozkazano więc dobyć karetę, szory, liberje paradne, a hrabina i Cesia nie żałowały brylantów i cacek w ubraniu.

— Ha! — myślała hrabianka — nareszcie poznam ją, tę Franię, tego nieprzyjaciela tak niebezpiecznego, tę wiejską piękność sielankową, dla której ci panowie głowy tracą. Ciekawam! ciekawa! Chciałabym doprawdy, żeby się Wacław tam znalazł, żeby nas obie mógł

porównać i żeby mu się serce ścisnęło taką boleścią, jakiej ja doznałam z jego przyczyny!!

Przyspieszono nieco obiad dnia tego, hrabia sam ekwipaż i ubranie żony i córki opatrzył, a gdy ruszyli puścił kłąb dymu z fajki, którą palił z oznaką radości, że do tak skutecznego środka ujęcia sobie Kurdesza doszedł nareszcie. Chmurzyło mu się tylko czoło gdy pomyślał, że pani hrabina może się tam znaleźć niebardzo grzecznie, i zamiast pogłaskania obrazić; ale że Cesi dał osobną instrukcją, którą ta zdawała się doskonale pojmować, był nieco spokojniejszy.

Nareszcie paniom jadącym w głębokiem milczeniu pokazała się Wulka i jej malutki dworek, tak licho wydający się po Denderowskim pałacu, a w tejże chwili stojąca koło drobiu Brzozosia, ujrzała ten pyszny ekwipaż w ulicy, i w pierwszej chwili niedowierzając oczom, gdy się przekonała, że wprost przed dwór dąży, o mało nie umarła ze skłopotania i strachu. Nigdy jeszcze gość tak paradny nie nawiedził pana Kurdesza! Kareta, sześć koni! lokaje w galonach: gdzie to pomieścić! przyjąć, posadzić! Dodajmy dla lepszego wytłumaczenia przestrachu panny ciwunównej, że w pierwszym, w bawialnym, w paradnym owym pokoju, który mógł służyć do przyjęcia gości, jako w najsuchszym i najcieplejszym, rozesłana na obrusach schła na stole, na podłodze, na kanapie nawet pszenna mąka, tylko co z pytla przywieziona; że w sieniach mnóstwo było od garbarza odebranego rzemienia, że wszystek drób gwarzył przed gankiem, a wyprana bielizna w malowniczych różnobarwnych zwojach schła na sznurach wpośród dziedzińca. Biedna ciwunówna nie miała odwagi po szlachecku, z pewną dumą, przyjmować wśród

tych oznak pracy, gospodarstwa i skrzętności; krzyknęła więc: „Jezus, Marja, Józef!“ i wpadła do Frani nie mając siły wymówić wyrazu strasznej groźby, ręką tylko wskazując na drogę z przerażeniem. Frania, która sądziła, że się wielkie jakie stało nieszczęście, porwała się nie wiedząc co począć.

— Ratuj, kto w Boga wierzy! — wrócił nareszcie głos Brzozosi — nieszczęście!

— Co za nieszczęście? — zapytał Wacław i Kurdesz razem siedzący trafem w pokoiku Frani, zrywając się jeden z kufra, drugi z ławki.

— Okropności! landara, sześć koni, galony, kareta, jakiści hrabstwo! wprost! wprost! a tu gęsi, mąka, rzemień, bielizna i Frania w perkaliku!

Rzucili się do okien mężczyzni, dorozumiawszy się o co chodziło; Wacław poznał karetę z Denderowa, konie i ludzi. Rotmistrz sobie przypomniał mąkę w bawialnym pokoju, i z Brzozosią razem wybiegli ją zabierać, zwołując co żyło we dworze do pomocy. Ale pomimo pośpiechu czeladzi tyle tylko dokazać potrafili, że pani hrabina wjechała na najokropniejszy nieład, śmieszniejszy stokroć od pierwszego gospodarskiego nieporządku, na rozpędzanie gwałtowne drobiu, zrywanie bielizny i rozsypywanie pytlowanej mąki po sieni. Ta nieszczęśliwa mąka, której się Brzozosia odpłakać nie mogła, gdy ją Janek z Magdą dźwigali, a róg się im obrusa z rąk wysunął, na samo przyjęcie hrabinej, wielkim obłokiem kurzawy wzbiła się w ciasnej sionce.

Nie było też czasu pościerać, a choć ostrożnie suszono owe Wielkanocne zapasy, i podkładano je starannie, wszędzie jednak zostawiły ślady po sobie. Wielki stół cały był w białych pręgach, na kanapie

leżała w kilku kupkach, a podłoga dawała rozpoznać kształt bielizny, na której była rozpostarta. Brzozosia do wszystkich świętych uciekała się aby ją ratowali, a nieszczęście to tak ją dotknęło, że rzemień pod pachę porwawszy, nie do czeladnej z nim, ale przez ganek uciekała, i spotkawszy sie z panną Cecylią, wszystek swój ciężar pod nogi jej upuściła. Kurdesz tylko nie stracił przytomności: wdział szybko kontusz i pas lekki, wybiegł rzeźwo do powozu, a na nic nie zważając, hrabinę do chatki swej wprowadził, z tysiącem nizkich ukłonów i przesadnych podziękowań. Frani radził, żeby się wcale nie przebierała; na Wacława mrugnął, aby mu w pomoc przyszedł, i udając, że hrabiny uśmieszków i Cesi urągliwego skrzywienia nie widzi, począł od najotwartszego tłumaczenia.

— Daruje JW. hrabina dobrodziejka, że nasz domek nie przywykły do tak dostojnych gości, w takim zastają nieporządku. Zwyczajnie u zaściankowego szlachcica: ciasnota i ubóstwo... Ot... mąkęśmy suszyli.

— To dosyć widoczne! — powiedziała sobie w duchu hrabina i poczęła przez zęby chwalić wiejskie życie. Cesia ciekawem okiem mierzyła wszystko, chwytała szczegół najmniejszy, złośliwie spoglądała na Wacława, który się rumienił mimowolnie, i oczekiwała przybycia Frani, coraz to na drzwi spozierając.

Frania w śmiertelnym strachu przeżęgnawszy się, i wedle rady ojcowskiej nie zmieniając stroju, który był skromny, ale przyzwoity, wśród kiwań głową Brzozosi, z bijącem sercem weszła do pokoju. Oczy obu pań badawcze, ciekawe, nielitościwie szyderskie, zatrzymały się na niej; a Cesia po chwili mając w tem zapewne myśl jakąś, zbliżyła się do Frani z czułą niemal grzecznością.

Wacław cały zmieszany poglądał na ukochaną, jakby jej na ratunek przybiedz był gotów: obawiał się Cesi, drżał o Franię, niepokoił swojem i jej położeniem. Mimowolnie jednak porównać musiał z sobą zbliżone trafem te dwie istoty, z których jedna tak dziwnie go dręczyła, druga tak czule kochała. Może na to porównanie rachowała trochę Cesia i wywołać je pragnęła; ubrana też była z największem obrachowaniem na efekt, z zalotnością, ze sztuką nie do naśladowania: serce i miłość własna stroiły ją na te odwiedziny. Miała na sobie białą suknię, różowe tylko wstążki, perły na szyi, róże we włosach, i parę bransolet na pięknej, malutkiej, po łokieć odsłonionej rączce; twarz jej stroił smutek i melancholia... a cała postać tak była pełna arystokratycznego powabu, że przy niej biedna rumiana, świeża, trochę zakłopotana i mniej starannie ubrana Frania, musiała się wydać prostą dzieweczką tylko. Twarz i rysy panny Kurdeszanki były stokroć piękniejszego typu od zmiętej i nieregularnie narysowanej twarzyczki hrabianki, ale w swej prostocie stały się pospolitemi prawie. Cesia była śmiała, nie zmieszana, pewna siebie; Frania upadała pod brzemieniem niezwyczajnego położenia. Tej z ust płynęły słowa potokiem; tamtej myśl błąkała się nim jedno i to pospolite słówko znalazła. Wacław spojrzał i westchnął, widząc wyższość tej, która nie miała serca, nad biednem dziecięciem pełnem uczucia, ale odrętwiałem ze strachu.

Pewna zwycięztwa hrabianka nie puściła już od siebie Frani, i gdy pan Kurdesz zabawiał hrabinę, mówiąc jej o omłotach pszenicy i urodzaju konopi; Cesia tymczasem starała się ośmielić Franię, pociągnąć ją ku sobie, otworzyć jej usta i serce. Rotmistrzówna po-

woli, powoli przychodziła do siebie, ale pozostała prostem dziecięciem wioski, naiwnem, nieumiejąc się zejść z Cesią na żadną myśl wspólną, nie mogąc zastosować do niej ni złączyć z nią na żadnym z rozstrojów, w których najsprzeczniejsze czasem spotykają się wyobrażenia i pojęcia.

A! z jednej wszyscy wychodzimy kolebki, lecz jakże różnemi czynią nas ludzie, świat, pierwsze głosy, któremi karmią się uszy, pierwsze uczucia poruszające sercem naszem! Jak dwa promienia z jednego wyskakujące ogniska, wylatujemy w przestrzeń, wśród której im dalej pędzi nas przeznaczenie, tem szerzej rozbiegamy się, połączyć nie mogąc nigdy. Frania nie pojmowała Cesi dojrzalszej od siebie, na świat spoglądającej z uśmiechem szyderczym i urągliwym; Cesia litowała się nad Franią bezbronną, bojaźliwą, słabą, nieśmiałą, która się jej wydała dziecięciem.

W pierwszej na wygasłego uczucia popieliskach świecił dowcip chłodny i doświadczenie myśli, która już wszystko przebiegła i we wszystkich się skąpała kałużach; u drugiej biło uczucie wstydliwe i skromne, nieumiejące się wydobyć usty. Cesia była cała pożyczana, Frania sobą tylko; pierwsza lepiej znała świat i człowieka, druga naturę i Boga.

Każde prawie słowo Frani było śmieszne dla wychowanki pałacu; `każdy wyraz Cesi niezrozumiały rotmistrzównie. Wacław ze strachem zdaleka poglądał na zawiązującą się ich rozmowę, roztargniony pomagając Kurdeszowi bawić panią hrabinę. Cesia tymczasem korzystała z czasu, stała się słodziuchną, przymilającą, i łatwiej od Frani potrafiwszy nastroić się na ton wiejski, powoli badała biedną wieśniaczkę. Nic nie uszło

jej baczności pod żadnym względem: potrafiła zaczepić najdrażliwsze fibry jej serca, najdroższe jej przekonania najtajniejsze nadzieje; a po kobiecemu obejrzała ją też począwszy od czerwonych rączek, do czarnego bujnego warkocza. Uznała się stokroć wyższą umysłem od tej, która jej Wacława odebrała, a powierzchownością i wdziękiem także się nie czuła zwyciężoną.

— Trochę świeższa odemnie — rzekla w duchu — ale co za postać niezgrabna, jaki chód, jak nie umie korzystać z tego, co jej los wydzielił! Ani dowcipu, ani zalotności; chyba młodość, chyba wieśniacze zdrowie czynią ją tak powabną... nie pojmuję! nie pojmuję!

Cesia obejrzawszy tak przeciwniczkę, pocieszyła się tem, że Wacława od niej oderwać potrafi; kilka razy wśród rozmowy zdradziecko rzucila nań okiem, gdy Frania nieśmiało się lub w sposób pospolity odezwała, widziała płomienie na jego twarzy i napoiła się tą kropelką zemsty,

Wacław wcale był nie rad odwiedzinom hrabinej, zupelnie niespodzianym; przewidywał on ich skutki, domyślał się powodu i dziwił zimnej krwi, z jaką Kurdesz płaszczył się przed hrabiną, zapewniając ją, że najwyższem szczęściem dla domku jego jest przestąpienie nizkiego progu przez tak dostojne osoby.

Nie kleiło się bardzo w salonie, a Bóg jeden wie, co z Brzozosią się działo zostawioną samą sobie, wśród przygotowań do herbaty. Żadna siła ludzka wmówićby jej nie mogła, wstrzymanie się od pokazania wszystkich sreberek, porcelany i oddawna w pyle stojących drogocennych sprzęcików, z któremi popisać się chciała koniecznie. Powydobywała więc co tylko dom miał, a do herbaty i pieczyste, i kartofelki, i frukta, i ma-

sło, i figi, i rodzenki, i konfitury, i arak i nalewkę i co tylko znalazła powysyłała. Nie było stołu na którymby się to wszystko pomieścić mogło, ale nad tem nie zastanowiła się Brzozosia. Frania i Wacław jakoś ostrożnie i nieznacznie usunęli część tych niepotrzebnych jadeł, któremiby dziesięcioro wygłodniałych drabów nasycić było można, i choć zawsze na szlachecki dworek za wielki był występ, nic w tem tak bardzo bijącego w oczy nieprzyzwoitością nie było. Kurdesz zresztą doskonale w swojem położeniu utrzymać się umiejąc, poprawił co mogło być dla hrabiowskich oczu i ust niesmacznego, szczerem wyznaniem swej nieznajomości świata i jego obyczajów.

Cesia w ciągu całych tych odwiedzin była aż do zbytku nadskakującą dla Frani; a że ją łatwo ująć było można, wydobyła z niej co tylko chciała; poznała ją, odgadła, zrozumiała, zwycięzkim rzutem oka mierząc Wacława, jakby mu powiedzieć chciała:

— Teraz cię mam, nie wywiniesz mi się!

Odwiedziny przeciągnęły się dość długo i mrok padał, kiedy nareszcie po herbacie hrabina powstała, by pożegnać gospodarza. Dawszy się namówić na bytność w Wulce, która dla niej najmniejszego nie przedstawiała zajęcia, nasyciwszy ciekawość od razu, pani hrabina przesiedziała godzinę tę z przykładną cierpliwością słuchając Kurdesza, który na rożku krzesła z przyzwoitem uszanowaniem zawieszony, bawił ją rozmową, na jaką tylko się mógł zdobyć: patrjarchalną, pasterską, gospodarską, o owcach, bydle, hladyszach, nabiale i t. p., sądząc, że tem zająć potrafi znudzoną sobą, i światem i nadchodzącą starością zalotnicę. Hrabina odpowiadała mu pół-słówkami, głową, ręką, nie

wymuszając się zbytecznie, ale też nie popełniając niegrzeczności. Milczenie swe odrazu złożyła na ból głowy: obstawiono ją wodami, wódkami, lekarstwami, krzątano się, latano. Nic nie pomogło oczywiście, ale oszczędność w mowie została wytłumaczoną.

Cesia przeciwnie ożywioną była, rozmowną, ujmującą, słodką dla Frani, i zyskała jej serce tą komedją, której fałszu dziecię ani domyśleć się nawet nie mogło. Wacław jak na żarzących węglach nie miał czasu przestrzedz Frani, a widział, że zanadto otworzyła swe serce; i po uśmiechu hrabianki przelatującym jej usta jak wietrzyk wieczorny, zgadywał ile naiwnych wyznań złapała. Kurdesz wreszcie pocił się, ocierał co chwila czoło, mordował, ale do upadłego zabawiał hrabinę; a na przeciwko nieoszacowana Brzozosia, nie ukazując się i pozostając za kulisami, jak oparzona kręciła się karmiąc wszystkich, pojąc, i dom do góry nogami przewracając, dla honoru rotmistrza.

Dała dla furmanów i lokai cały gąsior starki, jedzenia we dwójnasób tyle, ile go spożyć mogli, i powtarzała fartuszkiem rozpłomienione ocierając policzki:

— Niechaj znają! Szlachciccito, ale pewnie u nich tak nie przyjmą! Niechaj znają! ot tak!

Nareszcie odwiedziny te jak wszystko w świecie skończyły się, runęły krzesła, rzucili się gospodarze, poprzynoszono salopy i chustki. Kurdesz pod rękę processjonalnie wyprowadził hrabinę, Cesia wyściskała Franię, zapraszając do Denderowa.... i mieszkańcy Wulki odetchnęli, gdy landarę ujrzeli za. bramą. Kurdesz upadł na ławkę w ganku z zaschłem gardłem, Wacław podparł się we drzwiach zadumany, Brzozosia wybiegła zwycięzka.

— A co? źle było? — zawołała. — Nie chwaląc się, jak Boga kocham, rotmistrzu, gdyby nie ja, nigdybyście sobie rady nię dali. Otóż, spodziewam się, żeśmy się nie poszkapili: jadła huk, dostatek wszystkiego; niech znają! A ludzi im popoiłam, tak, że tańcowali po dziedzińcu; a jeden musiał być dobrze napity, kiedy starą Magdę niepoczciwy wyściskał, że jeszcze przyjść do siebie nie może...

— Dziękuję pannie ciwunównie — odparł Kurdesz powoli — wszystko to było pięknie, ale jakby tak drugi raz, nie wypocząwszy, naprzykład jutro, przyszło znowu panów .przyjmować...

— To co? Albobyto nam czego zabrakło? — przerwała Brzozosia.

Rotmistrz tylko westchnął.

Frania przystąpiła do Wacława:

— A! jakaż ona miła! — odezwała się — jaka uprzejma, ujmująca, a pan mi nic nie mówiłeś o niej.

Wacławowi twarz zapłonęła ogniem; nie umiał odpowiedzieć.

— Musi mieć dobre serce — dodała Frania. — Jak mnie zapraszała do siebie, ileto mi rzeczy poobiecywała, jak ją najmniejsza zajmowała fraszka, jak słuchała com jej opowiadała o sobie! Prawdziwie, niczemu innemu tego przypisać nie umiem, tylko siostrzynemu jej sercu dla ciebie.

— A jam się tak obawiał — rzekł Wacław po cichu.

— Czego?

— Ona trochę szyderska, ty tak wierząca, i tak łatwe anielskie masz serce...

— A czegożby ona szydzić miała? — zapytała Frania. — Fe! panie Wacławie, nie godzi się tak czarno

widzieć ludzi, posądzać i nie wierzyć! A ja ją pokochałam... i gdyby tatko pozwolił, chętniebym pojechała z nim do Denderowa.

— Pojedziemy moje dziecko — rzekł stary — ale niechno się wysapię trochę.

I otarł pot z czoła. Brzozosia spojrzała nań niemal z politowaniem, i zlekka ruszywszy ramionami, nie rada może, że jej pracę za mało oceniono, pomrukując coś niewyraźnie, odeszła.

W kilka dni potem Wacław siedział z Franią na ganeczku w Wulce, i po cichu znowu spokojni, rozmawiali już jak swoi o przyszłości, o której marzyli oboje, którą odgadnąć usiłowali. Jak gdyby kiedykolwiek można przyszłość odgadnąć! Nie, los szydzi z niedołężnych rachub naszych; niech nawet będą tak liczne, tak różne jak losu obroty, znajdzie on drożynę, którą się między niemi prześliźnie. A przecież któż nie osnuwa i nie układa przyszłości? Jestto sobie zabawka jak inne: przegrywamy w tę grę sto razy, i setny pierwszy podsuwamy znów stawkę nasze. Lubo-to marzyć, choćby na samem marzeniu skończyć się miało!!

W obrazie tej świetnej przyszłości były i Wulak, Palnik, i stary rotmistrz, i poczciwa Brzozosia i książki, i muzyka, i zajęcie biednemi, i przekazane przez księdza Warela w świętej spuściźnie do spełnienia legata. Frania choć udawała dość obojętną, gryzła się jednak, że Wacław z woli ojca i z potrzeby interesów musiał wkrótce odjeżdżać do Warszawy, ale milczała. Wacław posłuszny rotmistrzowi, choć myśl jej zgadywał, choć

byłby rad zaspokoić największą ofiarą, musiał spełnić rozkaz Kurdesza: wybierał się, wybierał powoli.

Frania, choć pieszczona, choć często samowolna, umiała się korzyć przed stanowczą wolą ojca; a zdziwiona chłodem i niedowiarstwem rotmistrza, wystawującego Wacława na rodzaj próby, czuła w nich rodzicielskiego serca obawę, i bardzo przeciwko niej gniewać się nie mogła. Ojciec na kilkakrotne próby jej wymówek, odpowiedział pieszczotami, żartami: często widziała jak łzy puszczały się z oczu i serce żywiej zabiło starcowi; czuła, że on sam tych odkładań się lękał, bo siwe włosy o śmierci mu nad skronią szeptały. Ale co raz postanowił, obmyślił, uznał słusznem i dla przyszłości rękojmię przynoszącem, tego się trzymał wytrwale. Nie próbowano już wymódz na nim zmiany zdania.

— Powrócisz prędko? prędko? — pytała Frania z wdzięcznym uśmiechem.

— Kiedy mi każecie — rzekł Wacław. — Wiesz, że jadę przez posłuszeństwo.

— Prędko, prędko, prędzej nawet niż się umówimy, potrzeba będzie panu powrócić! — mówiła Frania. — Wiem, że dobry ojciec ten pospiech wybaczy.

— A! gdyby mnie od tej próby uwolnił! — westchnął Wacław.

— Nie! o tem mu już mówić nie można — szepnęła Frania — jedź! Ja tymczasem będę czytać, będę się uczyć: zostawisz mi dużo, dużo książek, naznaczysz mi kolej; będę żyć niemi, zajrzę przez nie w świat nieznany, podniosę się, bym cię zrozumieć i ocenić potrafiła.

— O! droga Franiu! niewiele książki cię nauczą:

zajrzyj w serce swoje, tam droższe masz skarby! A jeśliś chciwa pokarmu dla duszy, chcesz książek i nauki, ta ci przyjdzie łatwo, bo jej połowę odgadniesz. Książka zresztą nietyle nas sama uczy, ile do rozwinienia naszego pomaga, budząc to, co w nas spoczywa. Nauka codzień się zmienia, podnosi, upada, zwraca kołem do drogi, którą przebiegła, ona niekoniecznie jest celem, jest tylko środkiem, sposobem rozwinięcia władz naszych.

— Rozumiem cię Wacławie: będę czytać i myśleć, nie zaprzedam się żadnej książce w niewolę, zostanę sobą! Ale bez ciebie na ilu to trudnościach przyjdzie mi się łamać bezskutecznie. Spotykać je będę na każdym kroku: kto mi je usunie, kto mi wskaże drogę, kto, jak ty, jednem słowem skruszy zaporę?

— Droga Franiu! bądź pewną, że serce z rozumem ująwszy się za ręce, przejdą wszystko, złamią i obalą najstraszniejsze zapory; ale obojga radzić się potrzeba.

— Któż mi powie, że się nie mylę, że nie błądzę?

— Alboż się ty omylić możesz?! — zawołał Wacław z uniesieniem. — Często myśl twoja tak młoda, świeża i bujna, tak niczem nie skrzywiona, moję prostuje, i mnie zdumiewa i upokarza.

Frania spuściła głowę.

— To pochlebstwo! — odezwała się po cichu.

— Nie, mówię co czuję, Franiu kochana.

— Dość tego! jedziesz, jedziesz pan! poprawiła się, bo w ich języku nie było jeszcze stale przyjętej formy: wyzwalał on się już z *pana* i *pani*, ale przy obcych powracał do nienawistnych tytułów, i często mimowoli się mylili. Sami będąc, niepotrzebnie mówili sobie *pan* i *pani*; przy obcych wymykały się im poufalsze wy-

razy. — Jedziesz pan — mówiła Frania — to przynajmniej pisz często, często, do ojca, do Brzozosi... to jest do mnie.

— Jak i do kogo mi tylko każesz — rzekł Wacław — to pewna, że każdy mój list do ciebie będzie i dla ciebie.

— I dzień po dniu, godzina po godzinie, potrzeba mi będzie zdawać sprawę z każdego ruchu, z każdej myśli...

— Ze wszystkiego! Ja nie mam tajemnic.

Frania westchnęła.

— Miałam dziś tego dowód, gdyś mi, tłumacząc tę Cesię, którą byłam tak pokochała, a której teraz tak się już boję, przyznał się, żeś ją kochał troszeczkę. A czy tylko troszeczkę?

— Troszeczkę, i to już przeszło.

— Przeszło? a nie wróci?

— Uczucia takie nie powracają.

— Ja nie wiem; ja sądzę, że na dnie serca zawsze, na wieki, zostawać muszą.

— Ale to nigdy nie było uczucie gwałtowne; pytałem siebie, jestem pewien, że dla mnie siostrą tylko być może. Chłodny z nią jestem, obojętny, i litość zajęła miejsce uczucia, zrodzonego sieroctwem, samotnością, pragnieniem dziecinnem współczucia.

— Litość? — spytała Frania — a czegoż się nad nią litujesz?

— Cesia wychodzi za starca, do którego nie ma przywiązania; przyszłość jej straszna i ciemna.

— Wszakże go sobie sama wybrała?

— Tak, pragnienie bogactw, zbytku, błyszczenia na świecie, obłąkały ją. Żal przyjdzie za późno...

— A! proszę, nie żałuj jej pan tak bardzo!...

Wacław się roześmiał.

— Nie bądź zazdrosną! — rzekł po cichu, całując przytrzymaną jej rękę. — Możesz-że się kogo obawiać?

— A! wszystkich! — odezwała się Frania tęsknie.— Czyż nie znam siebie? czyż myślisz, że nie wiem jak wiele mi braknie? jak w obec was jestem prostą, dziką, nieokrzesaną wieśniaczką?

— To właśnie daje ci wdzięk nieopisany: nie trać go, proszę, nie staraj się być inną! Bądź pewną, że przy tobie zniknie dla mnie świat cały.

— Muszę jaką jestem pozostać — odpowiedziała Frania. — Wiem dobrze, że zapóźno byłoby chcieć siebie odmienić, mogłabym przestać być sobą, a nigdy nie pochwycić tego, czego mi braknie!

To mówiąc uśmiechnęła się; oboje ujrzeli nadchodzącą pocichu z kluczykami Brzozosię, uśmiechniętą, połyskującą wyrazem radości. Bo ilekroć widziała ich tak z sobą, poczciwe jej serce radowało się i rosło, miło jej było choć spojrzeć na szczęście, którego nie doznała sama.

— Cóż tam państwo spiskujecie po cichu? dalibóg, rotmistrzowi powiem! — zawołała miląc się do nich.

— Odkładamy wesele na lat trzy od Bożego Narodzenia, bo czegoż się spieszyć — z uśmiechem odpowiedziała Frania.

— Zapewne! zapewne! jeszcze na pięć sobie odłóżcie! — szybko odparła ciwunówna — to najlepiej, a rotmistrz pochwali i podziękuje! Jużto, powiem państwu, że teraźniejszych kawalerów dalipan nie rozumiem! Dawniej, bywało, jeśli się sobie podobali, a rodzicę się zgodzili, nie odwlekano tak od roku do roku: poszli na kobierzec i kwita! Ale dziś u nas wszystko

inaczej: po pańsku! po francuzku! djabli wiedzą po jakiemu! Ot i rotmistrz jak zaczął odkładać... Oj! to odkładanie... tylko ser odkładany dobry... pożal się Boże!

— Więcby nas panna ciwunówna choćby jutro pożeniła? — spytał Wacław.

— A zapewne, choćby jutro! Cóżto człowiek ma tyle życia na zbyciu, żeby latami młodości szafował jak plewą?

— Brzozosia już widzę po swojemu gderze — przerwał stary Kurdesz, wysuwając się z laską i czapką w ręku — zawsze ma coś do nas!

— Ale u mnie co na myśli, to na języku: ot tak! — zawołała panna ciwunówna — z niczem się nie taję.

— Mnie tam szczególnie dostawać się musi — z uśmiechem dorzucił stary, domyślając się o co chodziło.

— I tego nie zaprę, bo ja pana rotmistrza nie rozumiem: męczyć tak tych dwoje biednych dzieci!

Stary spojrzał na Franię i Wacława, i szepnął Brzozosi:

— Alboto im tak źle? to moja panno ciwunówno ich roczek różany; a potem! a potem! przyjdzie gospodarstwo, kłopoty, życie powszednie, chłód, jesień i zima. Niech się nacieszą sobą, tyle ich co teraz!

Brzozosia już nie chcąc czy nie umiejąc odpowiedzieć, bo życie wcale inaczej pojmowała, ruszyła tylko ramionami z oburzeniem; Frania zerwała się, biegnąc niby czegoś poszukać, a Wacław sam pozostał z rotmistrzem.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Denderowa, dokąd nazajutrz Wacław mimo woli musiał pospieszać z pożegnaniem przed podróżą, obawiając się dziś spotkania z Cesią więcej niż kiedykolwiek po jej w Wulce odwiedzinach. Dendera siedział, jak wprzód, za swym stołem i papierami, układając plany, marząc o sposobach podtrzymywania walącej się fortuny, o środkach dźwignienia jej, które codzień sztuczniej, ale coraz mniej praktycznie obmyślał. Jak zwykle w rozpaczonych razach, im trudniejszem stawało się położenie, tem cudowniejszych na nie szukano lekarstw, uciekając się i do losu, i do Boga, i do ludzi, i do zawodzącego rozumu. Nie było już sposobu utrzymać nadal życie na tej stopie, na jakiej je był przywykł prowadzić, a codzień natarczywiej odzywający się wierzyciele przerażali go coraz bardziej, bo mu już do wywijania się im brakło konceptów. W więzach tych długów ściśnięty, przełamywał się jak Laokoon, jak Laokoon przyszłość swych dzieci widząc w tych samych męczarniach.

Z kolei po awizowaniu Kurdesza, zewsząd przychodziły listy, zjawiali sie niemili goście, sypały się zgłoszenia, prośby usilne i niegrzeczne nalegania o zwrot kapitałów; a że zakołatano o nie jednocześnie, i każdy wymagał natarczywie, i nikt się nie dawał ani procentem, ani komplementem, ani pochlebstwem ułagodzić, by zostawił sumkę, hrabia rozmyślał tylko jak uratować z rozbicia choć odrobinę majętności, a samą ruinę zrzucić na czyjeś plecy i od odpowiedzialności moralnej za nią się uwolnić. Klęska jakaś ogólna, przewrót, nieszczęście publiczne, byłyby mu bardzo na rękę; ale horyzont jakby naumyślnie był jasny i wypogodzony.

W tych gryzących troskach Wacław zastał Zygmun-

ta-Augusta, zestarzałego nagle, wybladłego, i pomimo usilnych chęci udawania spokoju, rozdrażnionego, zniecierpliwionego dojmującem położeniem. Na widok bogatego krewniaka nagle jasna myśl zaświeciła w głowie hrabiego, pomiarkował że mógłby użyć jego spadku na podźwignienie siebie, i choć mu ciężko przychodziło zniżać się do prośby względem człowieka w takich dziwnych z nim zostającego stosunkach, powitał go, schowawszy wstyd do kieszeni, z wylaniem i nadzwyczajną serdecznością. Po pierwszych przygotowawczych kilku słowach, przybrawszy minę poważną i smutną, hrabia począł mówić o sobie:

— Nigdym nie przewidywał — rzekł — żeby mnie spotkał taki dziwny, nieprzewidziany zbieg interesów; mogę ci się przyznać, jako krewnemu, żem przyciśniony do ostatka! Wszystko to spowodował ten nieszczęsny załóg, któremu zawsze byłem przeciwny, ta konfiskata klucza Słomnickiego... Kto wie, może będę musiał sprzedać wszystko, a sam usunąć się na spokojne i mniejsze gospodarstwo do dóbr naszych w Galicji. Prócz tego nie lubię tej prowincji... Nie chciałbyś u mnie kupić Benderowa?

— Kupię go — rzekł po namyśle Wacław.

Radość źle ukryta błysnęła na czole hrabiego, który już obrachował, że niedoświadczonego potrafi podejść, uwikłać i wymódz na nim cenę, jakiejby mu nikt inny nie zapłacił.

— Kupię go — powtórzył Wacław — ale że sam nie znam się wcale ani na dóbr wartości, ani na interesach, użyjemy kogoś za pośrednika, jeśli hrabia zdecydujesz się traktować.

— Zapewne — spuszczając oczy odparł hrabia — ja

także wolałbym to zdać na kogoś obcego. Muszę tych kontraktów ostatecznie moje interesa ułożyć, i Denderów sprzedam koniecznie: znudził mnie! Mogę rachować cię za kontrahenta?

— To rzecz jak skończona — rzekł Wacław chłodno.

Po tych kilku wyrazach pełnych nadziei dla hrabiego, gdy rozmowa między niemi schodząc z tej drogi, stawała się prawie niepodobną, Dendera zrzuciwszy swój paradny szlafrok, wniósł, żeby pójść do salonu; na co Wacław tem chętniej się zgodził, że w dziedzińcu postrzegł konie Farureja, i sądził, że z Cesią sam jeden nie będzie. Ale się mylił, bo dziewczę zawsze miało w pogotowiu sposób pozbycia się go, gdy jej był niepotrzebny.

Wchodząc zastali czułą parę przy stoliczku: hrabiankę rozpartą w krześle, z oczyma w ogrodowe okna wlepionemi; starego młodzika pochylonego ku niej, uśmiechnionego z tym śmiesznym wyrazem, jaki twarzy nadaje uczucie z wiekiem w sprzeczności będące. Chcąc się przymilić, Farurej zrobił się karykaturą: oczy jego czyniąc się słodkiemi, obwiodły mnóstwem marszczek i fałdów, usta drżały, całość rysów wybitniej jeszcze z pod powłoki kosmetyków i malowań wyglądała nieposzanowaną starością. Trafili znać na rozmowę daleko zaszłą i niebezpiecznie wyegzaltowaną, gdyż się ta zaraz przerwała; Farurej odprostował się i powstał na nogi, nie bez wysiłku, który się odbił na twarzy; Cesia jak swawolne zwierzątko, poskoczyła z krzesełka, rumieniąc się, że ją tak Wacław zastał z tym zgrzybiałym kochankiem. A że miała bardzo wiele do mówienia z Wacławem, i nie życzyła sobie mieć świadków rozmowy, ledwie przywitawszy brata, poczęła myśleć

7*

jakby się pozbyć natręta. Gniewać go i rozdrażniać nie chciała, trzymała go bowiem zawsze w odwodzie, zadumała się chwilkę i spytała, nie zważając na ojca i Wacława:

— A mój bukiet? dziś mi pan nie przywiozłeś bukietu?

— Prawda! — rzekł stary elegant — wina nie do darowania; ale spiesząc do nóg pani, o wszystkiem zapomnieć można.

— A pan tak ślicznie układasz bukiety! — dodała Cesia pocichu.

Farurej się uśmiechnął.

— Istotnie, *j'en ai fait l'etude à Paris...* a nie jestto rzecz tak łatwa, jak się zdaje...

— Właśnie w każdym pańskim bukiecie jest myśl, jest całość artystyczna: każdy z nich jest dziełem sztuki.

Farurej rosnął, nie wiedząc do czego to prowadzi.

— A! jutro, więc pozwolisz pani przysłużyć się sobie?

— Aż jutro! aż jutro! A, ja tak czekać nie lubię! — odpowiedziała Cesia kapryśnie.

Nie było sposobu, stary kochanek choć czuł że go to wiele kosztować będzie, a kości odbolą za przejażdżkę niepotrzebną, pochwycił kapelusz i pobiegł ku drzwiom, o ile bolącemi nogami po śliskiej posadzce biedz potrafił.

— Co to jest? dokąd? — chwytając go zawołał hrabia; ale spojrzawszy w twarz rozjaśnioną, domyślił się, że to była jakaś grzeczność dla Cesi: nieco porozumiał, że nie bez przyczyny odsyłano Farureja, i nie bardzo się zatrwożył. — Dokąd?

— Natychmiast powracam! — głosem pełnym drgań

uczuciowych odparł Farurej — natychmiast...

— Ale dokąd? — nadbiegając zawołała niby zatrwożona Cesia.

— Na skrzydłach wiatru... po bukiet dla pani.

— Czyż się to godzi? pana to zmęczy! — dodała Cesia filuternie.

— Mnie zmęczy! oburzył się Farurej — mnie?! Ale to maleńka przejażdżka, a dla pani — choć w piekło!

To mówiąc wyrwał się wstrzymującym go, i wybiegł do sieni. Cesia się roześmiała, Wacław zadumał, hrabia ruszył ramionami.

— Ależ wiedziesz nim jak chcesz! — rzekł ojciec do Cesi po cichu. — Biedny Farurej! poleciał jak opętany.

Dziewczę ruszyło ramionami, spojrzało ojcu w oczy, i zrozumieli się. Zygmunt-August wybiegł niby za Farurejem, a Wacława z Cesią sam-na-sam zostawił.

Nie było już sposobu uniknąć rozmowy, którą przeczuwał przykrą; Cesia całą siłą wzroku i szyderstwa patrzała nań długo milcząca.

— Wiesz Wacławie — odezwała się nareszcie powoli — ukochałam twoję Franię. Co za śliczna dzieweczka! A jakie to miłe! kochające! serdeczne! a jakie naiwne!

Wacław zastygł: pochwały te kłóły go jak śpilki; ukłonił się grzecznie i chciał odwrócić rozmowę.

— Przyjechałem was pożegnać — rzekł.

— Jakto, odjeżdżasz? jedziesz? Od nas, to nic jeszcze, ale od ślicznej Frani!

Uśmiech jej towarzyszący słowom, był zjadliwie ironiczny.

— Nie mówmy o niej — rzekł Wacław poważnie.

— Ale owszem, mówmy o niej jak najwięcej — przerwała Cesia. — Ty ją kochasz, zdaje mi się, że rozmowa o niej najmilszą ci być musi... chyba... nie ze mną? Ale cóżby to znaczyło?

— Kuzynko! dasz mi jakie polecenia do Warszawy?

— Może, choć sama także być się tam spodziewam. Ale na co zwracasz rozmowę, a jeszcze tak niezgrabnie? co ci jest? Widzę, nie wierzysz mi, boisz się, bym z twojej Frani nie żartowała? Jesteś niesprawiedliwy! Cóż złego można o niej powiedzieć? Ale doprawdy, prześliczna! przemiła! a tak pełna prostoty! Co za domek oryginalny!

— Kuzynko! i dom ten i Frania są mi droższe nad wszystko w świecie — odparł Wacław głosem drżącym.

— Przecież nie sądzisz, byś mi nowinę powiedział; bardzo to pojmuję! — mówiła dalej Cesia z miną przerażająco poważną. — I dziwnieście się państwo dobrze dobrali: dwoje jak jedno; będziecie szczęśliwi!...

Wacław milczał, ale w nim wrzało, bo czuł, że rozmowa rozpoczęta pochwalami, ukąszeniem skończyć się musi.

— Dla mnie — ciągnęła dalej Cesia — byłto widok wcale nowy tego dworku szlacheckiego, tego miłego sielskiego życia wśród drobiu, mąki i skór: zdawało mi się, żem patrzała na flamandzki jakiś obrazek. Frania w tem tle wydała mi się prześlicznie! Ale jakato szkoda — dodała zaraz — że nie poradzisz im jednak, żeby się trochę, trochę ucywilizowali i przerobili do nowego świata, w który wejść muszą za tobą. Jużciż, bogaty jak ty człowiek nie może, nie potrafi żyć w kącie, wśród zapleśniałej szlachty; biedna Frania będzie cierpiała wychodząc w świat...

— Ale na cóż ma wychodzić z tego, w którym jej tak dobrze?

— Prawda, że w tym świecie jej najlepiej — dodała Cesia — ale położenia swego zmienić nie możesz. Frania będzie musiala pójść za tobą... a taka bojaźliwa, nieśmiała, i tyleby jej wdzięku dodać mogło trochę otarcia w świecie!

— Nie chcemy tego świata, o którym mówisz.

— Wierzę, ale on was zechce, i oprzeć mu się nie potraficie; potrzeba rachować na to.

— Frania nie gra? — spytała Cesia po chwili.

— Nie uczyła się muzyki.

— I nie umie po francusku? — dodala kuzynka.

— Po polsku za to doskonale.

— Wierzę, ale ją to nieustannie upokarzać będzie. Wszak jeszcze czas uczyć się wszystkiego.

— Kuzynko, czy nie moglibyśmy zmienić rozmowy? — zapytał Wacław zbierając się na cierpliwość.

— I owszem, mówmy o wdziękach Frani: śliczna, to prawda, ale jak ze swej piękności korzystać nie umie!...

— Dla mnie będzie zawsze piękną.

— A! wiem o tem; dopóki? tego mi nie powiesz.

— Mówiłem, *zawsze*.

— *Zawsze*, bywa rokiem, miesiącem i tygodniem.

Wacław się męczył, ale zmuszal się do utrzymania obojętności; Frania na ustach Cesi, i jej imię wymawiane nieustannie, robiło na nim przykre, dojmujące wrażenie; a tu rozmowy zmienić nie było sposobu.

— Rozumiem, zdaje mi się, i wieś, i ten dworek, i to życie — dorzuciła Cesia po chwili — ale oceniając je, nie pojmuję, jak w tej atmosferze poetyczna dusza

wytrwać może, co chwila rozbijając się o prozę i rzeczywistość.

— Poezja niekoniecznie wszystka jest w atłasach i złocie — zawołał Wacław — Bóg nią i siermięgi ozłaca.

— Czasami, chwilami — odpowiedziała Cesia — ale możnaż nie spowszednieć i upaść, wyrzekając się wyższej sfery, która zbliża do ideałów?

— Kuzynko, mylisz się bardzo, to co zowiesz sferą wyższą, jest może światem fałszu.

— To, co zowiesz fałszem, jest poezją życia.

— Ja poezji w prawdzie szukam.

— I nie znajdziesz jej, biedny marzycielu! — dodała Cesia z westchnieniem smutnem, schodząc na ton inny, i omdlałe oczy kierując na biednego Wacława.

Dlaczego Wacław tak się jej obawiał, tak drżał jakby od przeczucia jakiegoś, gdy się do niego zbliżała, tak się czuł słabym do walki z nią i pragnął od niej uciekać? — nie wiem. Pierwsze uczucia zawsze choć zawiedzione, choć opłacone ranami i łzą, głęboko w sercu pozostają. Widok Cesi poruszał w nim wspomnienia, urok jakiś mające grzeszny, ale silnie pociągający. Wacław napróżno wyrzucał sobie wzruszenie, którego przemódz nie umiał.

Nie wychodziło ono na usta jego, ale Cesia postrzedz musiała, co się działo z sercem i już rachowała na nie, bo wkrótce odezwała się z uśmiechem:

— Więc tylko do zobaczenia w Warszawie?

— Jeżeli panie przyjedziecie rychło, bo ja tam nie zabawię — rzekł Wacław.

— Jakto! i byłbyś tak niegrzeczny kuzynku, że na nas byś nie chciał czekać?

— Nie wiem, doprawdy: niedosyć jestem swobodny.

— A któż swobodniejszy od ciebie?

— Odemnie? — zapytał Wacław — chyba pani nie znasz mojego położenia.

— Może. Ale cóż cię tak wiąże, jeżeli wiedzieć wolno?

— Tysiące nudnych spraw, projektów, układów, rachunków; w ostatku ciągnie mnie mój cichy i miły domek, którego nic dla mnie nie zastąpi.

— Tak go już pan kochasz?

— Dobrześ pani powiedziała, kocham go! Ja się tak przywiązuję łatwo i trwale.

— Łatwo! przystaję; trwale! wątpię bardzo.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — śmiało powtórzyła Cesia podnosząc oczy — bom doświadczyła może, że na uczucie pańskiego serca więcej rachować nie można, jak na świeżość gałązki rezedy. Dziś pachnąca, jutro uwiędła i sucha! A! a to boli — dodała pocichu wzdychając.

Wacław nic odpowiedzieć nie umiał, badał tylko szczerość uczucia, które wywołało to westchnienie, a Cesia podrażniona jego milczeniem, mówiła dalej:

— Doprawdy, wszyscy-bo mężczyzni nas kobiet nie są warci, u nas uczucie raz zrodzone trwa do zgonu; u nich...

— Powszechnem zdaniem — rzekł Wacław — wcale się ma przeciwnie.

— Przesąd to i potwarz; kobiety tylko kochać umieją! — żywo zawołała Cesia.

Ale i tym argumentem nic jeszcze z ust milczącego kuzyna nie wyrwała; wstała niecierpliwa i dorzuciła coraz się na pozór bardziej unosząc, a może trochę już gniewna:

— A! tak to smutno, tak ciężko, tak boleśnie zo-

stać opuszczoną i zapomnianą!

Waclaw głowę spuścił nie chcąc zrozumieć joszcze.

— Pani się tego obawiać nie możesz — wyjęknął po chwili.

— Któż pana o tem zapewnił?

W tej chwili zmienila nagle ton, postawę, i odezwała się namiętnie:

— Rozumieć mnie nie chcesz Wacławie, dręczysz naumyślnie świętokradztwem swojem! Jesteś doprawdy nieznośny! Nie kochałżeś mnie nigdy? ani na chwilę? Wszystkoż to było snem i ułudą? dziecinną igraszką? czy poprostu kłamstwem i podejściem? Przyznam ci się, jam w szczerości ducha wzięła to za prawdę!

Wacław był poruszony i zmieszany.

— Pani — rzekł pocichu — nie wiem o co się upominasz u mnie! Nigdym przecie śmielszego nie wyrzekł słowa, zuchwałego nie rzucił wejrzenia, nigdym się niczem bolejąc nie zdradził! Prawda! o! prawda — dodał — że była chwila, kiedym sierotą jeszcze i wychowańcem będąc na łasce, śmiał zwrócić oczy ku tobie, lecz odtrąciłaś mnie tak nielitościwie, tak zimno, tak wzgardliwie, żem musiał zagrzebać w sobie uczucie, które dziś stało się garstką popiołów.

Gdy te słowa kończył, turkot powozu zajeżdżającego przed ganek kazał się właśnie domyślać przybycia Farureja, który pospieszał z żądanym bukietem dla swojej bohdanki. Cesia z pogodną twarzą wysłuchała Wacława, wysiliła się na uśmiech, i pokazując białe drobne ząbki, wyciągnęła doń rączkę drżącą.

— Wacławie — odezwała się, starając w żart obrócić rozmowę — masz tę wadę, że wszystko bierzesz na serjo, nawet oświadczenie się kuzynki, która tro-

chę sobie chciała pożartować z ciebie. Cha! cha! kuzynie! cały zarumieniony! jakżeś się na mnie nie poznał: trzeba było spojrzeć mi w oczy, byłbyś zrozumiał, żem sobie pozwoliła trochę cię podraźnić. Daj mi rękę i bądźmy w zgodzie jak brat z siostrą; bądź pewien, że spopielałej przeszłości poruszać więcej nie będę.

Wymówiła to tak naturalnie, swobodnie, łagodnie, że Wacław nawet dał się uwieść wielkiej aktorce; a jednak w sercu jej wrzała chęć zemsty, osnuwały się plany przyszłości.

— Dotknęłam struny — mówiła w duchu — brzmi jeszcze! brzmi nie zerwana! I wydobędę z niej dźwięk, zazdrością i obojętnością ją drażniąc... O! pomszczę się upokorzona, na nim i na tej wieśniaczce, która śmie walczyć ze mną!

To mówiąc zwróciła się, podbiegła lekka i swobodna ku wchodzącemu Farurejowi.

Stary zalotnik pomimo ochoty trzymania się młodo i okazania, że mu ta gwałtowna przejażdżka nic nie zaszkodziła, blady był, zbity, drżący i cierpiący widocznie. Zdobył się na uśmiech słodki, podając przepyszne kwiaty, nad któremi Cesia unosić się zaczęła; ale zaledwie zdołał wymówić kilka słów francuzkich, które przez drogę ułożył, a oczyma wyszukawszy krzesło, padł na nie, nie mogąc się już na nogach utrzymać. Cesia na ten raz zdawała się nie widzieć nic prócz niego, przysunęła się, zbliżyła, spojrzała mu w zagasłe i łzawe oczy, i poczęła szeptać ożywiając starca tysiącem zalotnych poruszeń. Farurej chwycił podaną sobie rączkę w dłonie zziębło i mimowoli drgające jeszcze od znużenia, resztka młodości obudziła się w nim, i na chwilę o bolach zapomniał.

Cesia poczynała grać obojętność i budzić zazdrość, którą Wacława miała ku sobie pociągnąć; wiedziała czy przeczuła, że w biednem sercu ludzkiem to nawet, co odrzuciło, czego się zaparło, w posiadaniu cudzem budzi nieopisane uczucie pożądliwości. Nie mogąc się okazać ujętą innemi przymiotami swego narzeczonego, starała się podnieść francuzki jego dowcip pożyczany, i wykształcenie doświadczeniem nabyte; poklaskiwała każdemu jego ucinkowi, każdemu słówku, wyzywała je, powiększała ich wartość i szczerze starała się być zajętą Farurejem. Niepodobna odmalować szczęścia, radości, ekstazy, w jaką tak niezwykle, tak serdeczne obejście się Cesi wprawiło starca; widać było, że w tej chwili życie, mienie, najdroższe skarby rzuciłby był pod nogi czarującej dziewczynie. Postrzegła to hrabianka i poczuwszy swą siłę, śmiało już na nią postanowiła rachować.

Chciała jeszcze przelotnym rzutem oka przekonać się, jakie zrobiła nową swą strategią wrażenie na Wacławie, ale Wacław zniknął.

Pocichu wysunąwszy się, powracał do Wulki. Czemu tak smutny, i czemu wzruszony, i czemu dotknięty głęboko, powtarzający w myśli całą swą z Cesią rozmowę — ja nie wiem. Może dlatego, żeśmy zawsze słabi i biedni, że nigdy żaden z nas dłużej jak na chwilę szału wyczłowieczyć się nie może....

Pożegnanie w Wulce było krótkiem a smutnem. Frania nie kryjąc się ze łzami swemi, płakała; Brzozosia z gniewu, że, jak mówiła, narzeczonego wyprawiano na cztery wiatry, poczynała zaciskać pięści i na-

bierać nałogu rzucania ramionami co chwila, ale to jej nie przeszkadzało do obmyślania najdziwniejszych środków przeżywienia go w drodze. Między innemi chciała mu koniecznie dać faskę masła świeżego, utrzymując, że w Warszawie ludzi karmią łojem i fryturem, co ich o śmierć przyprawia, kilkadziesiąt funtów świeżej słoniny i t. p.

Rotmistrz był smutny: wstrzymywał i wyprawiał, chciał żeby jechał i odkładał pożegnanie i podróż samą, wypraszał godzinę i jeszcze godzinę, jakby się lękał go stracić i w powrót jego nie wierzył. Wreszcie dnia jednego, nad który już odjazdu przeciągnąć nie było podobna, odprowadził go aż w ganek, uściskał, pobłogosławił po ojcowsku i rozczulony rzekł kręcąc wąsa, żeby łzy obetrzeć niepostrzeżenie:

— No! no! dosyć tego babstwa, mosanie; kto zaś widział: mężczyzni jesteśmy! Ale wracajże mi asan prędko, panie hrabio, my cię tu tęsknie czekać i wyglądać będziemy. I piszże wasan, pisz często: posyłać będziemy na pocztę co tygodnia. Hryćko już gotów. A wracaj kochanie moje!

Wacław wszystkich z kolei ściskał, i powracał jeszcze, i oglądał się, i szeptał, aż w ostatku potrzeba się rozstać było; i gdy siadł do powozu, Frania nie oglądając się, szybko odbiegła do swojej izdebki.

Ostatniem słowem poczciwej Brzozosi było:

— Wszyscy głowy potracili! warjaty: ten że kazał, tamten że posłuchał! Tak! tak! ślicznie! a teraz będą tęsknić, płakać i chudnąć! Ale kiedy mnie nie słuchają dobrze im tak: niech pokutują!

I ręce łamiąc poleciała za Franią.

Wacław jechał całkiem zapominając o Cesi, o Den-

derowie, myśląc już tylko o Wulce i Frani. Jakże ta podróż, druga dopiero w jego życiu, różną była od pierwszej, którą ubogi odbywał do Żytkowa za uciekającym od ust jego chłeba kawałkiem, z tęskną, niepewną nadzieją przyszłości i ciężącym niedostatkiem!... Czemu dziś tak spokojny, tak szczęśliwy prawie, tak dalece innym był człowiekiem? Świat mniej był dla niego ciekawy, mniej piękny i uroczy, a tak wrzawliwy i pełen ścisku; ludzie, z którymi już walczyć nie miał potrzeby, mniej go pociągali ku sobie, nieledwie natrętni mu się zdawali, a przynajmniej całkiem obojętni.

Bóg tak ułożył los ubogich, by dla nich w istocie walka była rodzajem rozkoszy, żywem zajęciem, a świat stubarwnym obrazem, a ludzie braćmi i rodziną; za ich cierpienia płacą zaraz zdawkową monetą: nadzieja, radość, drobne zwycięztwo, malutka przyjemność lub choć uniknione przykrość, wszystkie coś ważące na szali żywota. W tym świecie, który dla ubogich jest wielkiem więzieniem, każda cegiełka murów ma twarz, ma życie, ma jakiś związek z ich istotą; gdy dla bogatych i zużytych wszystko prawie obojętne: oni nie walczą chyba z sobą, a i z sobą często się nudzą; oni są panami świata i wiedzą, że wszystko ich groszowi służyć musi, nic więc nie pragną, na nic nie zwracają oka.

Wacław, jakkolwiek nowy, jakkolwiek młody, sercem doznał tej zmiany na sobie, jaką czyni bogactwo na każdym prawie człowieku; uczuł się sytym choć nie kosztował, smutnym choć uspokojonym, i czegoś wewnątrz zimniejszym. Jedno tylko wspomnienie Wulki, Frani i tego kątka cienistego, gdzie pod lip gałęziami gniazdko szczęścia myśl słała, rozweselało go jeszcze: tem tylko żył i oddychał!

Szybko zbliżał się do stolicy, jak we śnie przebiegając kraj, który się przed oczyma jego rozwijał, przesuwał różnobarwny, gwarliwy, ożywiony, pełen, co kroku uderzający tym tysiącem sprzeczności, które stanowią główne piętno życia.

Tu chorągwie pogrzebu i trumna nad drogą, tam weselne skrzypki grają i długi szereg gości weselnych z konwojem na przedzie, ciągnie się uroczystą wstęgą od chaty do chaty; dalej dzwony wołają na nabożeństwo wieśniaków i panów razem, i księża a lud idą z modlitwą dokoła kościółka, a tuż gościńcem zbrodniarze skuci, bladzi, wycieńczeni, wloką się na łańcuchu od więzienia do więzienia, lub na dalekie wygnanie. Dalej jeszcze słychać śmiechy bydlęce pijanych, co smutek zaleli z rozumem razem, i płacz matki, której dziecię kona, i szwargot żydów co się targują, i francuzczyznę panów, co jadą się bawić ziewając, i szczęk oręża przechodzącego wojska, i skrzypienie fury wiozącej powolnie owoc potu i pracy, i tysiąc głosów i tysiąc brzęków, i tysiąc przeróżnych słów, które się biją z sobą w uchu słuchacza, tysiąc barw, które się kłócą w oku, tysiąc objawów życia, będącego nieustanną sprzecznością. Z tychto drobiazgowych ołamków składa się wielka, pstra a harmonijna mozajka życia.

Szybka podróż najdziwniej jednoczy wrażenia tych kontrastów. i w postrzegaczu budzi szczególne uczucie nicości: zbiegają się myśli najróżnorodniejsze w sercu i głowie, zlewając się w jedno ognisko, a człowiek powtarza na pociechę zarówno i na smutek: wszystko mija! wszystko przechodzi i ginie!

Nareszcie we mgle i dymach, opasana poważnem Wisły ramieniem, ukazała się z mnóstwem swych da-

chów stara Mazowsza stolica, którą powitał Wacław wszystkiemi wspomnieniami jej żywota. Dzieje jej wspaniałe, poważne; ale to pomnik, z którego na zaklęcie mistrza powstaje na chwilę blada choć żywa przeszłość, aby znów upaść weń, zasnąć i spoczywać na wieki wśród gruzów i wieńców. Na jej obliczu nie ma znikomej radości i szału żywych, a każda zwrotka jej pieśni kończy się jednem: — *znikomość.*

Zaledwie stanąwszy w mieście, Wacław musiał szukać Sylwana do którego miał listy i polecenia z Denderowa; gdy nawpół przypadkiem, pół umyślnie Sylwan czyhający od dawna na przybycie kuzynka, trochę zgrany, trochę przehulawszy już zapasu, nieco zadłużony u rzemieślników, wpadł do Wacława, niezmiernie radując się jego przyjazdowi do Warszawy.

Sylwan był tu już w swoim żywiole, zmieniony i zmiejszczały do niepoznania. W mieście dopiero mógł się on okazać całym sobą, w majestacie młodości pojętej po dzisiejszemu, z jej kapryśną, wyrodliwą fizjonomją, znudzoną i pokarmu chciwą, bez miłości i czci w sercu, z szyderstwem Mefistofela na ustach, z zarozumiałością nadludzką, z nerwami kobiety, z siłą olbrzyma do rozpusty, z twarzą umyślnie zestarzałą jak gdyby zużycie było ozdobą i zasługą tego wieku rozkwitnienia i świeżości. Ubior hrabiego był nieznacznie wyszukany, niepokaźnie wykwintny, kosztowny niewidocznie; minka doskonale impertynencka, ruch i słowo namaszczone uczuciem swej godności, wyższości i siły.

— A! nareszcie! — rzekł padając od razu na kanapę salonu z nogami — przyjechałeś nam Wacławie! Czekałem cię jak kania dżdżu, jak się to mówi... Ale

stanąłeś w dziurze, pozwól sobie najprzód powiedzieć.

— Hotel bardzo porządny.

— Cóż znowu, któż przyzwoity staje w hotelu Wileńskim, Krakowskim lub jakimś tam drugorzędnym. *Mauvais genre!* któż tu do ciebie zajrzy? Powinieneś był wiedzieć, że w Warszawie są dwa, najwięcej trzy hotele. Dla bogatych, *Angielski*, to cię zaraz stawi na pewnej stopie; dla artystów i ludzi dystyngowanych, *Rzymski;* dla arystokracji i starych lubiących spokój ludzi, *Gerlacha;* krom tych nie ma tylko dziury, karczmy i brudy. Rzymski nawet już pachnie mi nieciekawie; wprawdzie stał w nim Lamoriciere, ale w Angielskim na dole miała miejsce ta sławna scena Napoleona z ks. Pradtem, gdy w zielonej aksamitnej wilczurze wracał z Moskwy i Berezyny.

— A cóż mi do Napoleona i do ks. Pradta! —rzekł ruszając ramionami Wacław.

— Przecież musisz żyć z ludźmi, a któż cię zechce szukać w hotelu Wileńskim! Fi! przeniesiesz się dzisiaj.

— Kiedy mi tu dobrze! Przyjechałem tylko dla moich interesów.

— Ale się musisz zapoznać, pobawić, rozerwać.

— Zmiłuj się! mnie tak smutno i pilno do domu!

— Szczęśliwyś zaprawdę! — odpowiedział Sylwan ruszając ramionami — urodziłeś się widzę na wieśniaka i domatora; co ja, tom tu dopiero poczuł że żyję, innym jestem człowiekiem: jestem w swoim żywiole. Co za ludzie! jaki świat! *A propos*, a masz z sobą pieniądze?

A propos było dość niezręcznie przypięte, ale rozśmieszyło Wacława w duchu; twarz jego jednak spoważniała i odparł obojętnie:

— Mam ich ledwie tyle, co koniecznie wziąć było potrzeba.

— Pozwól sobie powiedzieć, że tak jechać do miasta nieostrożnie, jest doprawdy grzechem.

Sylwan się zakręcił.

— Ale mi jednak pożyczysz, gdybym pilno zapotrzebował nim mi z Denderowa, dokąd już pisałem, nadeślą.

— Wiele? — spytał Wacław, wcale nie nadskakując kuzynkowi, który już nadużywał powolności jego.

— Fraszka! kilkaset dukatów potrzebować będę może! Tyle tu wszystko kosztuje, a musiałem przecie sprawić powozik! Sądziłem jadąc, że mój będzie bardzo paradny, ale zgasł nawet przy porządniejszych dorożkach, a w handlu wzięli mi go za cenę żelaza. Musiałem się oporządzić; tyle mi rzeczy brakło, by dom na pięknej kawalerskiej stopie postawić.

Wiesz — rzekł nagle zniżając głos — nikt nie ma takiego szczęścia jak moje. Wyznam ci szczerze, że już mi celibat dokuczył. Starzeję... chciałbym się ożenić; przyszło mi to do głowy jakoś w drodze. Trzebaż takiego trafu, samo mi w ręce lezie najpyszniejsze w świecie ożenienie. Panna anielskiej, idealnej, orjentalnej piękności; tytuł, znaczenie, związki i fortuna olbrzymia, książęca! Jestem już bardzo dobrze w tym domu... Zaprowadzę cię do nich, osądzisz!

— Któż to? Jakaś Warszawianka?

— Gdzie zaś, ojciec baron, był jakimś Hof... djabełmejstrem przy austrjackim dworze, dyplomata, człek najwyższej sfery. Przybyli tu tylko na zimę dla jakichś interesów, których delikatność badać mi nie pozwala. Jestem zakochany! zakochany!

— Zrobiłeś dawno znajomość?

— *Figurez-vous*, jeszcze na drodze przed Włodzimierzem, nie tylko znajomość, ale początek starania formalnego: jestem już poufałym u nich prawie. Baron zimny jak lód, ale mnie nieźle przyjmuje; córka anioł! anioł! trochę smutna, ale jaki to jej wdzięk daje! Zmiłuj się Wacławie, jeśliby przypadkiem jakim, bo wszystko przewidywać potrzeba, badał cię o dobra nasze i pozycją socjalną na Wołyniu, mów w interesie wspólnym jak potrzeba. Rachuję na ciebie.

— Powiem prawdę.

— Więcej trochę niż prawdę powiedzieć potrzeba — zawołał Sylwan. — Musisz ją ubarwić, ubrać: powinniśmy się trzymać! Jestem zakochany, a partja o jakiej nie marzyłem, kilka miljonów, sądząc z życia ich i domu... A ton! a związki! a stosunki! Powiadam ci, stoję na drodze kolosalnego ożenienia!

— Tak rychło, tak długą przebiegłeś drogę! — rzekł uśmiechając się Wacław — prawdziwie winszuję ci.

— A! trzeba być mną, żeby tego dokazać — odparł Sylwan z zadowolnieniem widocznem miłości własnej. Umiem rzeczy poprowadzić! Rachuję, że i z przyjazdu matki i z Cesi, która tu ma po wyprawę przybyć, korzyści wyciągnę; dziś do nich piszę, żeby się jak przystoi pokazały tutaj, wiele od tego zależy. Baron z natury ostrożny, chłodny, niedowierzający dyplomata!

— Widzę w istocie, żeś zaszedł daleko i głowa ci się pali — rzekł Wacław — daj Boże szczęście!

— Dziękuję, ale na te dwieście dukatów mogę rachować, nie prawda?

— Jeżeli koniecznie będą potrzebne.

— Zdaje mi się, że są już nawet... A dziś co robisz z sobą? Nie chcesz, żebym cię w moje kółko męzkie

wprowadził? Co za ludzie!

— Dziękuję ci, ja lubię jak wiesz samotność: gwar i wesołość wasza zasmuciłyby mnie tylko.

— Biedny dziwaku! No! ale gdzie będziesz jadł? —

— Tutaj.

— Jakto tutaj i w hotelu!! a to cię strują! Ja cię proszę z sobą do Mary, do Michaux, do Herteux, zobaczysz jak my tu jemy.

Wacław ruszył ramionami.

— Dziękuję ci — rzekł — ale potrzebuję spoczynku, a potem do roboty.

— Uparty jesteś! Do widzenia więc, do jutra!

To mówiąc Sylwan porwał za kapelusz, wstrząsnął ręką Wacława i wyszedł świszcząc jakąś piosenkę, a za drzwiami ruszył ramionami:

— Powiedzcie mi — rzekł w duchu — czy warto że mu Bóg dał miljony, kiedy ich użyć poczciwie nie umie? Ani poczuje że je ma! Stanął w hotelu Wileńskim, będzie jadł suche pieczyste wczorajsze, i zaszyje się w kąt jak prosty szlachcic, który wełnę przyjechał spieniężyć, a wzdycha do swego komina i tłustej żony. Głupi! głupi! ani go zbałamucić, tak ograniczony! Zmarnuje i grosz i życie!

Dla dopełnienia w tej rozmowie zaczerpniętych wiadomości, o postępie starań Sylwana i stosunkach jego z domem barona Hormeyer, musimy tu umieścić tłumaczony z francuzkiego list jego do ojca, następującej treści:

— „Miałem już jakieś przeczucie szczęścia, które mi w drodze całej towarzyszyło — pisał Sylwan —

mogę się niem pochwalić, choć trochę też i sobie winienem, bo kto inny na mojem miejscu, pewnieby jak ja skorzystać z niego i fortuny za włosy uchwycić nie umiał. Wystaw sobie kochany hrabio, że to marzone miljonowe, więcej może niż miljonowe ożenienie mam w ręku, a pierwszy raz spotkałem się z niem o kilkanaście wiorst od Denderowa. *C'est fameux!* Panna jak anioł piękna, ludzie najwyższej sfery, najpiękniejszego wychowania i niezmiernej fortuny. Ale muszę to jakoś porządniej opisać.“

Tu następowała relacja znanych nam już wypadków przybycia do Warszawy, pierwsze kroki Sylwana, i dalsze badań jego i starań postępy.

— „Jużem się mnóstwa rzeczy potrafił dowiedzieć, choć muszę udawać obojętność — mówił dalej — Reszty wnioskując i rozumując domyśleć się łatwo.

„Baron Hormeyer zaraz po przybyciu swojem urządził się jak przystało jego fortunie i położeniu towarzyskiemu; dom jego na największej stopie, z najpierwszemi rodzinami zawiązał tu stosunki, i życie dowodzi, że miljony mieć musi. Osobny ekwipaż dla niego i dla córki, sześciu lokai, kamerdyner, dwóch kucharzy, konie wierzchowe, salony umeblowane z przepychem największym, srebra stołowe jakich nie widziałem w życiu, panna w coraz nowych brylantach, których wartość już tu cenią na krocie, choć pewnie jeszcześmy wszystkich nie widzieli, słowem dom pański. Sam baron niełatwo dla kogo przystępny, zimny, trochę dyplomatycznie podejrzliwy, mnie podobno jako najstarszego znajomego najlepiej widzi i najgrzeczniej przyjmuje. Potrafiłem zyskać sobie jego przyjaźń i zaufanie, ofiarą trochy miłości własnej. Pomimo to i on i

córka i ich dwór dziwnie w sobie zamknięci ludzie i trudni do zawiązania poufalszych stosunków; nikt tu się nie pochlubi, żeby tak daleko jak ja zajść potrafił, chociaż i ja, mimo najusilniejszych starań, jestem na domysłach i na łapanych wiadomostkach. Co się tyczy panny, nic piękniejszego w życiu nie widziałem, i prawie jestem zakochany. Poznawszy ich trochę, nie chcę *brusquer le roman:* prowadzę go wolno, idę krok za krokiem, ostrożnie, bacznie, ale zwolna. Z początku jak na wszystkich, i patrzeć na mnie nie chciala, dziś kiedyniekiedy zostajemy na chwilę sam na sam, i widzę że baron wcale się temu nie sprzeciwia. Zdaje mi się, że nic lepszego trafić mi się nie może, i nie trafi: sam los opatrzny zesłał mi tego miljonera itd. itd.“

List był długi i zawierał rozmaite postrzeżenia Sylwana, oparte po największej części na domysłach i wnioskach mniej więcej zręcznie osnutych. Ale w nich wszystkich dla zimniejszego oka widocznem było, że młode hrabie dało się uwieść urokowi dwojga czarnych oczu i dowodziło tylko, czego usilnie dowieść chciało.

Stary Dendera odebrawszy to pismo, przeczytał je z uwagą, brwi namarszczył, a doszedłszy do końca, splunął ruszając ramionami. Wcale w innem świetle widział to, co Sylwanowi najjaśniejszą zdawało się przyszłością, i niepomału się uląkł projektu syna, o którego zdolnościach zwątpił odrazu.

— Glupi! — zawołał — potrzeba go ratować, bo wpadnie w jamę. Baron austrjacki! licho wie zkąd! licho wie co! obszyty w tajemnicę! pół Niemiec! To coś podejrzanego, to coś wielce podejrzanego! Sylwan już się dał pannie uwikłać: komedją z nim grają, go-

tów mi go złapać! To nieszczęście, to prawdziwe nieszczęście!

I poraz drugi odczytawszy list Sylwana, Dendera zachmurzał się coraz bardziej.

— Wolałbym mniej, jakie cztery kroć, pięć kroć jasnych i czystych, niż te miljony na srebrach, brylantach i podejrzanem tytule oparte! To jacyś awanturnicy!

Zygmunt-August tak był przestraszony zrazu, że gdyby nie interesa, sam chciał pospieszyć do Warszawy i syna wyrwać z niebezpieczeństwa; ale nie było sposobu ruszyć z placu, bo musiał opędzać się wierzycielom i do końca durzyć ich widokiem swego pogodnego czoła. Pomyślał więc sobie, żeby wyjazd żony i córki przynaglić, i przez nich działać na Sylwana, a to go zmusiło podzielić się z hrabiną Eugenią otrzymanym listem i swojemi nad nim uwagami. Oddawna już małżonkowie żyli z sobą na zimno nie radząc się nigdy, w niczem do jednego nie dążąc celu; dla rozdrażnionej i upokorzonej hrabiny dość było, żeby mąż żądał czegoś, a rzecz ta naturalną sprawą usposobienia jej, stawała się wstrętliwą i śmieszną. Można więc było przewidzieć łatwo, że i tu, jak skoro hrabia widzieć będzie czarno, hrabina biało zobaczy: tak się też stało. Udając pokorę i posłuszeństwo, z miną ofiary i poddaństwa wysłuchała Eugenia i listu i uwag mężowskich, ale nie biorąc ich do serca, zlekka tylko ruszyła ramionami. Nie chciała się odzywać, bo wyjazd do Warszawy dla niej i dla córki wielce był pożądaną rozrywką: marzyła o nim znudzona i choć wcale nie podzielała zdania hrabiego, a stosunki Sylwana z rodziną Hormeyerów zdawały się jej najszczęśliwszem losu zrzą-

dzeniem, zamilkła zgadzając się na wszystko.

Cesia także miała powody, dla których spieszno jej było do miasta, chciała tam schwycić Wacława i nowy wcale obmyśliła plan kampanii. Wyjazdowi więc nic nie stawało na przeszkodzie, tylko jedne pieniądze, nieszczęśliwe te pieniądze, o które codzień trudniej było w Denderowie. Sylwan ich trochę zabrał, resztą opędzać się trzeba było od natarczywości wierzycieli, nadpłacając procenta, dając na rachunek kapitałów, byle się jakoś czas jeszcze pewien utrzymać. Zręczna Cesia sama poddała ojcu sposób dostania parę tysięcy dukatów, których w tej chwili tak bardzo potrzebowano w Denderowie.

— Niech się papa nie troszczy — powiedziała mu pocichu — Farurej nam dać musi!

— Nie wypada! nie wypada, zrazićbyśmy go mogli! zawołał Dendera. — Stary jakkolwiek zakochany, gotów ostygnąć, gdy mu zajrzym do kieszeni.

— Jest na wszystko sposób — odparła uśmiechając się hrabianka — papa mi powierz to tylko, ja się podejmuję całej roboty, byle go tu sprowadzić.

— Ta daleko ma więcej sprytu od Sylwana — rzekł sobie hrabia w duchu — ha! zobaczymy, niech probuje!

Stary djabeł nie może, trzeba posłać młodą babę.

Trafiło się tak, że w kilka dni potem Farurej, który od owego bukietu stał się niezmiernie czułym, przyjechał wyświeżony do Denderowa. Cesia przywitała go z minką tak melancholijną i smutną, że narzeczony odrazu, choć trochę ślepy, wyczytał w niej jakieś wewnętrzne strapienie. Milczała, wzdychała, poglądała w niebo, i patrząc w oczy nieszczęśliwej swojej ofierze,

zdawała się mówić mu o tajemnicy, która ją wewnątrz pożerała.

— Czy mi się pani nie zechcesz zwierzyć swego smutku? — zapytał stary, chwytając niedbale na poręczy krzesła zwieszoną rękę.

— Gdzieżeś pan ten smutek wyczytał? — spytała Cesia.

— Oko i serce omylić mnie nie mogły — z wdziękiem rzekł zalotnik. — A! z upragnieniem wyglądam chwili, gdy wyczytawszy najlżejszy smutek na jej czole, będę miał prawo o jego przyczynę zapytać.

— Chwila ta jeszcze daleka — zawołała Cesia — i codzień zdaje mi się okoliczności ją odsuwają.

Farurej, gdyby nie przykry ból w nogach, którego doznawał od owej gwałtownej po bukiet przejażdżki więcej niż kiedy, byłby się porwał jak oparzony.

— Co pani mówisz! — odezwał się z zapałem dwudziestoletniego młodzieńca.

— Tak jest — szepnęła Cesia — widzę, że się to musi daleko bardziej, niżeśmy rachować mogli, przeciągnąć. Ale nie mówmy o tem, nie mówmy, to mi przykrość sprawia.

— I owszem, na wszystko zaklinam panią, mówmy szczerze, mówmy otwarcie: miałażbyś pani dla mnie tajemnice?

— Nie mam ich — odparła zręczna dziewczyna, smutne oczy zwracając na narzeczonego — ale godziż się tajemnice domowe zdradzać obcemu?

— Obcym mnie pani nazywasz?! uniósł się Farurej.

— Chciałabym ze wszystkiego się zwierzyć panu i nie mogę, boję się matki, boję się ojca nadewszystko.

Stary, któremu niezmiernie pochlebiała ta poufa-

łość i zaufanie narzeczonej, przybliżył się ku niej nalegając.

— Niech mi pani się zwierzy, a ręczę, że potrafię znaleźć sposób jakiś.

— Nie mogę! nie mogę! — zrywając się z krzesła odpowiedziała Cesia; ale po chwilce zasmucona i zamyślona, znowu przy nim usiadła.

— Cóż to być może? zniespokojony począł Farurej — zaklinam panią, niech mi pani powie, niech mi się choć domyśleć dozwoli.

— Ale to będzie tajemnicą między nami? — spytała Cesia po chwili namysłu.

— Daję na to słowo.

— Spojrzyj pan, czy ojciec na nas nie patrzy, i czy nas podsłuchać nie może.

Stary Dendera udawał doskonale zajętego gazetą, której wiersze liczył tylko myśląc wcale o czem innem, Farurej zaręczył za niego, że wszelką baczność odjął mu Espartero i Kortezy, a Cesia podrożywszy się trochę, w ten sposób nieśmiało niby i urywając poczęła:

— Wystaw pan sobie — rzekła — że choć nic na pozór na przeszkodzie już nie staje, gdyśmy z matką dla wyprawy miały w tych dniach wyjeżdżać do Warszawy, nieprzewidziana okoliczność wszystkie szyki nam miesza.

Farurej ucieszył się niezmiernie z objawu uczucia, które wywołało smutek na piękną twarz hrabianki; chciała więc przyspieszyć to, czego on tak pragnął. Stary jechał do nieba na skrzydłach miłości, i westchnieniem odpowiedział tylko.

— Cóż się stało? — zapytał po chwili.

— A! ja tam tych interesów nic nie rozumiem —

mówiła Cesia dalej — ale okazuje się, że ojciec musi dla jakiejś tam ważnej spekulacji, w którą włożył co miał kapitałów, odwlec znacznie nasze projekta: dziś nam to zapowiedział.

Farurej ruszył niecierpliwie ramionami.

— To dzieciń每stwo — rzekł — chodzi więc tylko o pieniądze, znajdziemy ich ile zechce.

— A! na Boga! mylisz się pan — odpowiedziała Cesia — nie o pieniądze tu chodzi. Pan jeszcze nie znasz mojego ojca, w tych rzeczach jest tak drażliwy, tak dumny, tak nieprzystępny, że nie widzę ratunku. Pożyczyć u nikogo nie zechce, musimy czekać aż się tam jego interesa wyjaśnią.

— Ale ja mu dam wiele będzie potrzeba! — krzyknął Farurej.

— Cicho! zmiłuj się pan, ciszej, ojciec podnosi głowę, słucha, gotów się domyśleć, a nigdyby mi nie darował, gdyby to do niego doszło. Nie ma sposobu przystąpić do niego z pieniędzmi. Nie widzę ratunku.

Farurej głęboko się zamyślił.

— Tak jest drażliwy? — spytał — ale gdybym mu sam się zaofiarował z pożyczką....

— Mógłbyś go pan sobie narazić bezpotrzebnie; nigdy się nie przyzna że jej potrzebuje, jestem tego pewna.

— Mógłbym kogo użyć za pośrednika.

Cesia zamilkła i westchnęła tylko znowu, z wyrazem tęsknoty.

— Dajmy pokój — odezwała się uśmiechając melancholicznie — na to poradzić niepodobna.

— Musimy! — zawołał Farurej — zostaw mi pani staranie, podejmuję się wszystkiego.

— Pan mnie zgubić możesz, jeśli się ojciec domyśli — przestraszona poczęła Cesia — zlituj się.

— Nie mamże żadnej u niej ufności?

— Ale ta rzecz tak drażliwa!

— Pozwól mi pani sprobować.

Cesia zamilkła. — Probuj pan — rzekła — ale ja nie mam nadziei, żeby mu się powiodło, znam ojca, znam charakter jego, to rzecz niemożliwa, niepodobna.

Farurej pocałował ją w rękę po cichu. Cesia wstała szybko pod jakimś pozorem, a stary Dendera obudzony szelestem, podniósł głowę od gazety. Nie spuszczał on oka z córki i przyszłego zięcia, wiedział że już przygotowano mu pole i z uśmiechem począł coś prawić o polityce hiszpańskiej. Farurej przysiadł się do niego i czas jakiś rozprawiali o niczem, igrając ze słowami, które ich doprowadzić miały nieznacznie do zamierzonego celu.

— Jaki tam kurs papierów? — spytał Farurej.

— Papiery nizko stoją — rzekł Dendera — zanosi się na wojnę, na wszystkich bursach spadają.

— Chciałem właśnie kupić akcyj jakich — odezwał się zalotnik.

— Spekulujesz pan jak widzę?

— Nie! ale doprawdy nie mam co robić z pieniędzmi.

Hrabia się rozśmiał serdecznie.

— Pierwszy raz coś podobnego słyszę; kupuj pan ziemię, to lepsze od papieru; ziemia podnieść się musi.

— Tak! ale nią zarządzać potrzeba! — rzekł stary — a co to u nas gospodarstwo! I tego co mam bardzo mi dosyć, jeśli nie nadto! Nie wiesz tam hrabia jakiej pewnej lokaty na dobrach ziemskich?

— Nie wiem — zimno odparł Dendera, spoglądając

na sufit z miną kwaśną.

— Obrachowawszy wszystkie najnieprzewidziańsze wypadki — mówił dalej stary marszałek — zostaje mi kilka tysięcy dukatów, z któremi nie wiem co robić.

— Warto je mieć w zapasie.

— Mam zapas oprócz tego, nie lubię trzymać pieniędzy.

— Prawdziwie trudno mi na to poradzić.

— Jakto! panu hrabiemu, takiemu jak on spekulantowi? Trudnożby ci było naprzykład przyjąć mnie do jakiej spółki?

Dendera wstał od stołu pochmurny, Farurej widząc że mu się niebardzo udaje, nalegał.

— Przestaję spekulować — rzekł hrabia — usuwam się od tych robót ryzykownych, chcę spokoju, i bylebym los dzieci zapewnił....

— No! ale teraz, dwa, trzy tysiące dukatów, wszakże — zapytał Farurej — mogłyby się hrabiemu przydać do spółki: zrobiłbyś mi największą łaskę biorąc je u mnie.

Dendera się skłonił dumnie, przybrał postawę niemal obrażonego w swej godności człowieka.

— Marszałku kochany — rzekł — porozumiejmy się: stosunek nasz dzisiejszy jest tego rodzaju, że mieszając weń sprawy pieniężne, moglibyśmy go uczynić trudnym, zwłaszcza dla mnie. Nie nalegaj, ja tego nie zrobię, ale ci wskażę dobrego ewiktora.

— Pozwólże mi go sam sobie wybierać — odezwał się Farurej. — Zresztą kilka tysięcy dukatów nie są rzeczą tak wielką, w czemże one mogą utrudnić przyszłe nasze stosunki?

— Kochany marszałku — potrosze rozczulając się

odpowiedział Dendera — mam za zasadę unikać interesu z osobami familią składającemi, lub do niej mającemi należeć. Pieniądz zwykle jest szkopułem, o który się rozbija przywiązanie i przyjaźń: potrzeba unikać wszelkiego powodu do naruszenia świętych węzłów familijnych.

Wymówił to z takiem namaszczeniem, z tak głębokiem przekonaniem, że Farurej trochę się zastanowił, co dalej miał począć.

— A ba! 'rzekł — unikaj sobie hrabia stosunków pieniężnych z innemi kiedy chcesz, ale ze mną, co ci się proszę o tę drobnostkę, śmiesznymbyś był, gdybyś się drożył. No! jak chcesz, przyjmij mnie do jakiej spółki! Zobaczysz, jak dobrego mieć będziesz motianta!

Dendera ścisnął jego rękę.

— Dajmy pokój — rzekł — to niepodobna.

— Mój hrabio, zaczynasz mnie drażnić — zawołał Farurej — Cóż znowu? czy tak dalece nie zasługuję na zaufanie, że ze mną unikasz stosunków pieniężnych? To niewiara, to obelga prawie! Serjo! to mnie żywo obchodzi.

— Nie bierz-że pan tego z takiej strony.

— Muszę to tak wziąć, bo inaczej wytłumaczyć mi się nie potrafisz. Jestem dotknięty i przykro dotknięty.

Hrabia udał zmieszanego i począł przepraszać.

— Panie marszałku kochany, tej myśli nie miałem, nie zrozumiałeś mnie!

Farurej burzył się na zimno, chcąc dopiąć swojego celu i ooraz bardziej poruszony, począł żywo:

— Musisz pan hrabia wziąć te pieniądze, nie odstąpię od tego; inaczej śmiertelnie mnie obrazisz! To nieufność! to nieufność! — powtarzał — to niewiara!

Hrabia tłumaczył się dosyć niezręcznie, czując że dopiął już celu i miłość własną ocalił; powoli począł ulegać, mięknąć, wolnieć, aż nareszcie skończyło się na tem, że zamilkł.

— Jutro przysyłam pieniądze — zamknął Farurej, musisz je przyjąć.

Dendera zachmurzony niby, ruszając ramionami, mrucząc, przystał na końcu, ale z widocznem umartwieniem wyszedł z pokoju, a Farurej pospieszył do Cesi.

— Rzecz skończona — szepnął pocichu z rozjaśnioną twarzą — zrobiłem jakiem pani mówił.

— Jakto! i ojciec przystał? — krzyknęła Cesia z podziwieniem.

— O! niemało to mnie kosztowało pracy — z uczuciem zwycięztwa swego dodał kawaler, strudzone nieznacznie rozcierając nogi — alem na swojem postawił!

— Jakimże sposobem?

— Jak to się stało, nie powiem, dosyć że jutro przysyłam pieniądze, a przyspieszenie wyjazdu do Warszawy i chwili mojego szczęścia poruczam pani.

To mówiąc ucałował rączkę podaną z uśmiechem, spojrzał szaremi zgasłemi oczyma w ogniem ziejące źrenice Cesi, westchnął, położył rękę na piersi, i wymownem milczeniem tę scenę zakończył.

W tydzień później hrabina z Cesią były na drodze do Warszawy.

Sylwan nie tracił czasu napróżno, i nie spuszczał z oka na chwilę domu barona, który choć się z nim zdawał oswajać, nie tak jednak łatwym był jak hrabia sobie obiecywał. Nie wychodził nigdy z granic zimnej grzeczności i nie dopuszczał Sylwana do pożądanej dlań poufałości. Baronówna, widocznie dziecko pieszczone, pani domu, o której względy codzien bardziej rozkochany hrabia usilnie się starał, bawiła się nim czasem, posługiwała trochę, ale nic nie straciła ze swej sztywności, melancholii i zimnego z nim obejścia. Im trudniej to szło, tembardziej Sylwan się zapalał; a postępy tak były nieznaczne, tak powolne, że dumne hrabie niekiedy gniewem buchało. Tymczasem dom barona Hormeyer otwierał się dla coraz większej liczby nowych znajomości, napływała doń najpierwsza młodzież, którą wabiła nieporównanej piękności twarzyczka i przepych domu, na pańskiej utrzymywanego stopie. Sylwan śledził, patrzał i drżał, żeby kto nie został szczęśliwszym od niego, choć dotąd ani baron, ani jego córka nie zdawali się wyróżniać nikogo. Ewelina zawsze była równie smutną, zamyśloną, znudzoną ludźmi, niecierpliwą. Baron chłodny, rozpatrujący się i za-

pięty na wszystkie guziki. Tajemnica jakaś dom ten otaczała, a przybywający z Galicji, z Wiednia, żadnej o nim pewniejszej wiadomości nie przywieźli. Kilka osób widywało barona, zgadzano się na to, że przy dworze jakiś miał urząd, że go w towarzystwach wyższych spotykano; ale o jego stanie majątkowym i położeniu towarzyskiem nic pewnego dowiedzieć się nie było podobna.

Ludzie nie mając o nich pewnych danych, tworzyli tymczasowo dzieje bajeczne, zgadywali, domyślali się, wnioskowali. Baronówna pokazała się na kilku balach w coraz nowych brylantach, tak niemi obwieszona, że precjoza jej ściągnęły oczy wszystkich, a cenę ich przesadzono nadzwyczajnie i podnoszono niezmiernie. Jeden naszyjnik z pereł i djamentów wzbudził zazdrość we wszystkich kobietach, i zwrócił szczególnie uwagę na barona i jego córkę. Zaintrygowali wszystkich ci przybysze, występujący z takim zbytkiem, a całkiem prawie nieznani nikomu. Poczęto szperać i dochodzić, ale nikt nic stanowczego nie odkrył. Sylwan tylko po kilkotygodniowych stosunkach z baronem dowiedział się najniespodziewaniej i w sposób przypadkowy, że córka Hormeyera, ta, którą miał za pannę Ewelinę, młodziuchna i dziewicza istota, była już wdową, że jej nagłe wpół roku po ślubie owdowienie, spowodowało wyjazd z Galicji i smutek, którym twarz jej okrytą była. Wygadał się z tem pan baron tak jakby sądził, że to już wszystkim jest wiadomem; wzdychał mówiąc o córce, i nie wyspowiadawszy się z niczego więcej, urwał zachmurzywszy czoło.

Sylwan jakkolwiek rad był, że więcej schwytał od innych, wyrzucał sobie, że dotąd tak prostej nawet

rzeczy nie wiedział, i powróciwszy do domu głęboko się zamyślił nad sobą i przyszłością. Ewelina teraz mu się wydawała inaczej, smutek jej był wytłumaczony, rozdrażnienie naturalnem, obojętność konieczną, miłość własna we wspomnieniu męża znajdowała tłumaczenie chłodu, z jakim go przyjmowano.

— Potrzeba czasu — rzekł w sobie Sylwan — wdowa! to nic nie szkodzi. Musi więc mieć majątek po ojcu i coś odziedziczyła po mężu. A tak młodziuchna! a tak pociągająca!

Westchnął, zamyślił się i już zawracać nie chciał. List hrabiego ojca, który poprzedził przyjazd hrabinej i Cesi, pełen nieukontentowania, obawy i przestróg, więcej rozdrażnił niż upamiętał Sylwana.

Nie chciał mu w niczem przyznać słuszności, rozśmiał się, i obrażony niemal że mu wyrzucano nieopatrzność i łatwowierność, odrzucił pismo z lekceważeniem, ruszył ramionami, ani myśląc się stosować do rady ojcowskiej. Oczekiwał tylko matki, żeby jej przybyciem poprzeć swoję sprawę; rachował na kobiety, na Cesię szczególniej, której znał przebiegłość, a tymczasem dnia prawie nie opuszczał, nie widząc się z baronem i jego córką.

Zaledwie dawszy wypocząć Wacławowi, zmusił go do odwiedzenia z nim razem nowych swoich znajomych. Wacław opierał się, wymawiał, ale uległ nareszcie bratu i poszedł z nim razem na wieczór do barona. Sylwan chciał mu się pochwalić nadzieją i olśnić go przepychem tej, którą zawczasu swoją przyszłą nazywał. W istocie dla Wacława przywykłego do wsi i kłamanych występów Denderowa, ten dom zbytkownie urządzony był całkiem nowym i uderzającym widokiem.

Wygalowana służba, stoły od sreber się uginające, ogromne salony z niejakim urządzone przepychem, do reszty onieśmieliły i tak bojaźliwego, ciszę lubiącego człowieka. Wszedł zakłopotany, zarumieniony, zmieszany; dał się zaprezentować baronowi, który nieznacznie zmierzył go wzrokiem badacza, i nieśmiał nawet spojrzeć na jego córkę, czarne swe oczy ciekawie obracającą na przybysza. Sylwan nie postrzegł, że baron i Ewelina, gdy Wacław się pokazał, spojrzeli po sobie jakby zdziwieni, że młoda wdowa zadrżała, zapłonęła, i po chwili wyszła szybko z salonu. Nadto był sobą zajęty, żeby mógł nawet przypuścić, że ktoś większe nad niego uczyni wrażenie. Po pewnym przeciągu czasu jednak Ewelina powróciła do salonu, i Wacław nieco ośmielony spotkał piękne jej oczy wymierzone na siebie.

Wszyscy byli dlań nadzwyczaj uprzejmi, a wreszcie Sylwan nawet musiał postrzedz, że dla Wacława zmieniono tryb postępowania z innemi gośćmi. Młoda wdowa zbliżyła się ku niemu ciekawie, uśmiechnęła, przeciągnąć się starała rozmowę z nim; baron nie spuszczał go z oka, a gdy więcej osób nadeszło, widocznie pierwszeństwo dawano nowo przybyłemu przed wszystkiemi.

Kilka razy baron i jego córka szeptali coś z sobą tajemniczo, a gdy nadeszła chwila pożegnania, ojciec, czego dla nikogo nie uczynił, wyszedł za gościem usilnie go zapraszając, żeby ich dom odwiedzał. Nie postrzegł tylko Sylwan jak wzrok Eweliny pobiegł za Wacławem do drzwi, i ścigał, gdy go już nie było; jednakże dotknięty do żywego obiecał sobie w duchu więcej się na porównanie z bratem nie wystawiać.

To coś niepojętego — rzekł w duchu — byliżby ślepi, czyby się mieli nie poznać na mnie? Mogliżby wiedzieć, iż Wacław ma miljony, których ja mieć nie będę? Ja go tam więcej nie zaprowadzę, on sam nie pójdzie pewnie!

Na Wacławie dom ten wielkiego nie uczynił zresztą wrażenia, przepych i bogactwo go zdziwiło, ludzie byli dlań zagadką. Ewelinę uznał piękną, ale mówił o niej chłodno, i Sylwan badając go przekonał się, że sympatja która się objawiła ze strony barona, nie wywołała wzajemności. To go uspokoiło.

Nazajutrz swoim zwyczajem rano pojechał po barona, którego miał zawieźć do kilku domów, jak się wczoraj umówili, i zdziwił się znowu, gdy po krótkim obojętnym wstępie, baron żywo go spytał o brata. Sylwan nadto był ostrożnym, żeby go bardzo wychwalać, ale kłamać też nie mógł, bo wielki ów spadek i niespodziana fortuna, a z niej wynikłe interesa, postawiły Wacława na widoku i łatwo było dojść fałszu. Odpowiedział więc obojętnie, uśmiechając się, ogólnikami, nie tając swojego podziwienia, dlaczego o niego tak go ciekawie badano.

— Musiałeś pan uważać — odparł baron Hormeyer z niezwykłą sobie szczerością — jak mnie wczoraj widok tego młodego człowieka uderzył, i mnie, i biedną Ewelinę moją. Wystaw pan sobie, brat pański tak nadzwyczajnie, tak cudownie jest podobny do zmarłego jej męża, żeśmy na pierwszy rzut oka za widmo go wzięli. Córka moja dotychczas jest cierpiąca... przypomnienie świeżej straty.... nieutulony jej żal po tym człowieku....

— Dobrze, że mi pan baron mówisz o tem — rzekł Sylwan trochę niespokojny — więcej go tu już nie

przyprowadzę i najmocniej przepraszam....

— Ale owszem, ówszem — pochwycił baron — Ewelina znajduje w tem niejaką pociechę, to łudzące przypomnienie.

— Mój brat jest dosyć dzikiem stworzeniem — pospieszył Sylwan — z wielką trudnością wczoraj go tu wyciągnąłem. Dziwne okoliczności sprawiły, że niepoznany długo, wychowywał się jak sierota, to go onieśmiela. Niedługo zdaje mi się zabawi w Warszawie, przygotowuje się tylko do blizkiego wesela.

— Jakto? zaręczony? — podchwycił baron z widoczną niespokojnością.

— I zakochany — dodał hrabia.

Rozmowa się na tem przerwała, dano znać o koniach. Sylwan wyjechał z baronem razem, ale powróciwszy do domu nie mógł się powstrzymać od gorzkich wyrzutów losowi.

— Wacławowi wszystko! — zawołał — majątek, szczęście idzie samo do rąk nieproszone, za cóż mnie się nie wiedzie? Zaczynam go nienawidzieć! Byleby mi pożyczył czego potrzebuję, unikać go muszę, wyprawię go na wieś. Niech jedzie: ani on do miasta, ani miasto dla niego.

Nazajutrz odebrał zaproszenie na wieczór do barona wraz z bratem, ale go z sobą nie wziął, i wymówił się nieśmiałością Wacława.

I ojciec i córka postrzegłszy, że sam przyszedł, nie umieli pokryć wrażenia, jakie to na nich uczyniło. Spytali zaraz o brata, a Sylwan rozgniewany, prawie do kłamstwa uciec się musiał. Cały wieczór Ewelina była zamyślona i smutna, baron chłodny i milczący, Sylwan nie potrafił się nawet przybliżyć do pięknej wdowy, a

za każdym jej głosem niecierpliwił się coraz bardziej, bo go pytano tylko o Wacława. Wychodząc zżymał się na siebie, że mu na myśl przyszło wprowadzić tę marę, która w mgnieniu oka zepchnęła go z mozolnie otrzymanego stanowiska.

Szczęściem dla Sylwana, wśród zakłopotania jego nadjechała hrabina z córką: nowi i silni sprzymierzeńcy. Zaledwie się rozpakowano w hotelu, już niespokojny począł im opowiadać całe swoje dzieje.

Znano je potrosze z listu Sylwana, i hrabina matka na przekor mężowi usposobioną była pomagać, nie przeszkadzać synowi. Cesia milczała obojętna, ale gdy przyszło do Wacława, zarumieniła się, wstrzęsła i nadstawiła ucha na opowiadanie. Twarz jej zmieniona dozwoliła bratu domyśleć się uczuć serca: zwrócił się do niej cały. Cesia słuchała go naprzemiany blada i krasna od bijących na twarz rumieńców, ale milcząca i zamyślona.

— Kochana mamo — zawołał Sylwan w ostatku — na tobie i na drogiej Cesi całe moje nadzieje. Potrzeba się poznać z Eweliną, zbliżyć, poprzyjaźnić i opanować ją całkiem; a naprzód jakkolwiek jesteśmy tu chwilowo, musimy się pokazać tak jak nam przystało, i dom choć w podróży urządzić w sposób przyzwoity, ja się tem zajmę. Jeśliby pieniędzy zabrakło, Cesia weźmie u Wacława.

— Dajże mi pokój Sylwanie — oburzyła się siostra — to nadto!

— Zrobisz to gdy sama uznasz potrzebę, ja jestem zakochany, oszalały i od was wyglądam ratunku! Ojciec wiem, obawia się, odradza, przestrasza, ale myli się najzupełniej.

Hrabina ruszyła ramionami na wspomnienie męża, Cesia poczęła badać brata i niespokojna już pocichu mu szepnęła, żeby po Wacława posłał nie tracąc czasu. Sylwan dorozumiewał się coraz bardziej na co jej był potrzebny; a rachując na pomoc siostry, chciał ją sobie zawczasu zaskarbić; sprowadzono więc biednego samotnika, który dosyć niechętnie stawił się na wezwanie.

Hrabina przywitała go zimno, Sylwan poufale, Cesia serdecznie, ale jak brata tylko. Nowy jej plan zależał na tem, żeby go zbliżać jak najbardziej ku sobie, a działać nań obojętnością, i obudzeniem zazdrości w sercu jego. Do tego zastosowała humor: stała się trzpiotowatą, zajętą przyszłem za mąż pójściem tylko, strojami, domem jaki miała urządzić, zabawami itp. Usilnie pragnęła przekonać teraz Wacława, że się stał dla niej obojętnym, rachując na to, że człowiek płacze zawsze po wszystkiem co traci, nawet po tem, co posiadając nie cenił.

— Dobrze żeśmy tu ciebie zastały — zawołała do wchodzącego z uśmiechem, podając mu rękę — musisz nam służyć i pomagać. Mój narzeczony nagli, mamy całą ogromną wyprawę do zrobienia, kilka tysięcy dukatów do wyrzucenia za okno, nie potrafimy sobie dać rady, a ten biedny Sylwan taki zakochany, taki śmieszny, taki dziwny, że się na niewiele przyda!

Wacław przez grzeczność zaofiarował się na usługi.

— Ja ci się wywdzięczę, kuzynku — dodała Cesia figlarnie — niepodobna, żebyś czegoś nie potrzebował dla Frani; nie potrafisz sam dać rady z kobiecemi gałgankami, my ci najdroższe, najpiękniejsze, najsmakowniejsze wybierzemy. Juściż nie wrócisz z Warszawy z próżnemi rękoma, wstydby ci było i śmiesznie!

Od tej chwili Wacław nie miał pokoju od Cesi, która go ciągle chciała mieć przy sobie, choć zmieniła z nim sposób postępowania, nigdy już nie mówiąc mu i nie przypominając niczem dawnych stosunków. Ciągle była zajętą tylko swoją przyszłością, weselem i rolą, którą na świecie grać miała; nieustannie zaś przypominała mu Franię, z udaną dla niej czułością, ale zawsze z odrobinką ironii, choć zręcznie bardzo ukrytej. Wacław posmutniał biedny i ugiął się pod ciężarem powolnego prześladowania, które najwymyślniejsze przybierało formy.

Hrabina Eugenia, która pomimo braku świeżości i bardzo już przywiędłych wdzięków, spodziewała się jeszcze w salonie przy świecach znaleźć choć poddeptanego czciciela, równie z ciekawą i niecierpliwą Cesią, nagloną przez Sylwana, spieszyły wyjść na świat, dawnym się przypomnieć znajomym i nowe zawrzeć stosunki. Najęto powóz, wybrano pokoje, urządzono dom na stopę jak najpokaźniejszą, wyrzucono wiele pieniędzy, i hrabina wybrała się wreszcie z Sylwanem do barona Hormeyer, ale tu ich nie przyjęto. Potrzeba było czekać wzajemnych odwiedzin, a te dopiero czwartego dnia nastąpiły. Nieszczęściem dla Sylwana, Wacław znajdował się właśnie w salonie i nie było go sposobu sprzątnąć. Baron wszedł z córką, którą miał przedstawić hrabinej, ale na progu ujrzawszy Wacława, młoda wdowa tak się zmieszała, pobladła, zmieniła, że ze wzruszenia usiąść musiała, ledwie ukłoniwszy się gospodyni domu. Złożono to na osłabienie, znużenie i przypadek jakiś, który ją przestraszył przed chwilą, choć Sylwan wiedział dobrze, co to znaczyło. Rozmowa zawiązała się z trudnością o ogólnikach, ale Ewelina

udziału w niej prawie nie brała, wciąż zapatrzona na Wacława: dwie łzy płynęły jej z oczu powoli....

Sylwan wściekał się i nie wiedział co począć; Cesia patrzała i nic zrozumieć nie mogła, bo jej się z tego dziwnego wypadku brat nie wyspowiadał; baron zaś korzystając ze spotkania poszedł do Wacława i z niezwykłą grzecznością i nadskakiwaniem przylepił się do niego.

Rozpytywał go, zapraszał, łasił mu się prawie i tak zręcznie manewrował, że go przyprowadził do córki, która podnosząc nań oczy zamglone łzami, wstrzęsła się i zadrżała. W wejrzeniu biednej kobiety znać było, że w tym nieznajomym, który jej tak żywo przypominał utracone szczęście, szukała z rozpaczą tego uczucia, które jej dawniej jaśniało. Zdawała sią błagać litości, spoglądając na Wacława, i ze smutnej, obojętnej, chłodnej tak się stała łagodną, wzruszoną, czułą, tak twarz jej piękna dziwnie się zmieniła, że Sylwan patrzący z boku oczom swoim nie wierzył. O! co z ludzkiego oblicza jeden robi promyk radości! jak ono inne! jak cudnie piękne, kiedy z za łez spojrzy weselem i uśmiechnie się choć marzonem szczęściem!...

Taką się stała Ewelina, kiedy bojaźliwy wzrok jej spotkał zimne, ale pełne współczucia wejrzenie Wacława, w którego źrenicy dobroć się malowała. Nie śmiała ust otworzyć drżących, a mówiła niemi prosząc go o litość, i choćby o zwodniczą nadzieję. Zdumiony Wacław zląkł się tego wzroku, którego wyraz mówił o wielu łzach uronionych napróżno; ale wzruszyła go boleść nieznajomej, choć całkiem niewytłumaczonym dlań sposobem zwracająca się z prośbą jakąś ku niemu. W tych pięknych rysach zwykle chłodnej i dumnej

kobiety, tyle było teraz czułości i wdzięku! Chciał uciec i nie mógł przykuty litością i wdzięcznością razem; nie śmiał być niegrzecznym po tylu uczynionych mu przez barona i córkę jego uprzedzających krokach. Został więc na swojem miejscu, choć Cesia nań mrugała, choć Sylwan zbliżywszy się, starał go oderwać od Eweliny, a sam miejsce jego zastąpić. Głosu nawet Sylwana nie zdawała się słyszeć młoda wdowa, tak była zajęta Wacławem.

— Pan tu jesteś jak my gościem — odezwała się po francuzku do sąsiada, równie jak my obcym trochę: masz obowiązek niejako żyć z nami! Jesteśmy jak podróżni wśród stepu, których znajomość zawiązuje się łatwo na obczyznie. Czemu pan dotąd nie byłeś u nas. Kuzyn pański, hrabia Sylwan, daleko jest grzeczniejszy.

— A pani! komuż się na co przydać może towarzystwo wieśniaka, który tęskni za wioską?

— I za temi, których tam porzucił.

— I za niemi! — dodał Wacław po cichu.

— A któż nie tęskni za czemś i po czemś nie boleje — odpowiedziała Ewelina półgłosem — trzeba się pocieszać wzajemnie i bliźniemu ulżyć ciężaru. Lubisz pan miasto? — zapytała.

— Przyznam się pani, że nie.

— Dawniej jam je lubiła bardzo, dziś męczy mnie i utrudza. W mieście potrzeba być szczęśliwym, inaczej widok tego gwaru i wesela podwaja boleść jeszcze.

— Boleść? — spytał Wacław — tak młoda, mogłażeś już pani jej doznać?

— Ja? — odparła nieznajoma, zapominając się widocznie z jakąś egzaltacją chwilową — ja? ja już znam wszelkie boleści ziemskie, choc ledwie usta przytknę-

łam do czary życia i kroplę z niej wyssalam słodyczy.

Ojciec spojrzał surowo, jakoś smutno i Ewelina uspokoiła się; hrabina przemówiła do niej, ona odpowiedziała grzecznie i krótko, i natychmiast, jakby się obawiała stracić chwili, znowu spojrzała na Wacława, z którego wzrok jej nie schodził. Odwiedziny przeciągały się nazbyt długo, baron niespokojnie miął kapelusz w ręku, a córka jego zajęta Wacławem, nie poruszała się z miejsca.

— Czy pan u nas nie będziesz? — spytała go wybrawszy chwilę, gdy jej nikt prócz niego usłyszeć nie mógł — dlaczego nie byłeś, gdyśmy prosili?

— Kiedy? — zapytał Wacław zdziwiony — ja o tem nic nie wiedziałem.

Ewelina zarumieniła się, z wymówką spoglądając na Sylwana: było to pierwsze wejrzenie, którem go zaszczycić raczyła.

— Przyjdź pan kiedy chcesz, zawsze mu będziemy radzi — szepnęła z cicha głosem wzruszonym — przyjdź pan — dodała nalegając — wiele nam uczynisz dobrego!

Na tych niepojętych wyrazach, których Wacław nie zrozumiał wcale, a które go zmieszały tak, że na nie odpowiedzieć nie potrafił, skończyły się rozmowa i odwiedziny. Wdowa podała rękę sąsiadowi, wstała nagle i jakby się całą siłą woli odrywała od niego, po szybkiem pożegnaniu wybiegła.

Cała ta scena nie mogła ujść bacznego oka hrabinej, i wzroku zazdrośnej Cesi; a Sylwan zburzony był nadzwyczajnie i przechadzał się chwilę, powróciwszy odedrzwi, niemogąc w ustach znaleźć słowa.

— Co to jest? — odezwała się pierwsza Cesia —

Sylwanie, wytłumacz nam to proszę, to coś niepojętego! Co znaczy ta czułość twojej pięknej nieznajomej dla pana Wacława? Wszak go podobno raz tylko widziała? Prawdziwie — zawołała z przymuszonym śmiechem — mogłabym coś donieść Frani, wielkie pan robisz postępy w Warszawie.

Wacław stał zmieszany i przybity.

— Ja nic nie wiem, ja nic nie rozumiem! — odparł uniewinniając się.

— Ja wiem wszystko i widzę, że mnie prześladować zaczyna jakieś zażarte, fatalne nieszczęście, poprostu dzieło ślepego wypadku. Potrzeba, żeby kuzynek Wacław był jak dwie krople wody podobnym do nieboszczyka męża Eweliny. Ha! to przedziwnie!

— Ja? — zawołał Wacław.

— Baron mi mówił o tem — dodał Sylwan żywo — i zaklinał mnie na wszystko, abyś w ich domu nie bywał i nie zatruwał im spokoju, odświeżając stare i przygojone już rany.

— Baron ci to mówił? Baron cię o to prosił? — zapytał Wacław. — Ale czemuś mi o tem nie powiedział wprzódy, byłbym się nie pokazywał? Dlaczegoż znowu ten sam baron tak mnie usilnie dziś zapraszał?

— Czyż nie rozumiesz tego? — ofuknął go Sylwan — to było przy córce! Ale zdaje mi się, że nie zawiodę się na twojem sercu, nie będziesz tak okrutnym byś biedną kobietę zamęczał; potrzeba ci wyjechać z Warszawy.

— Dziś się jej nie pokazywać! — przerwała Cesia.

— Najlepiejby było wyjechać — dodał Sylwan. — Ten wypadek i mnie niezmiernie pomieszał szyki: byłem już na najlepszej drodze, dziś żal odżył i cofnąłem

się na długo.

Wyrazy te wyrzekł z wymówką, tak że Wacław dotknięty niemi, odezwał się obrażony:

— Jam tu przecie nic nie winien.

— Przepraszam cię — szybko podbiegając rzekł Sylwan — nikt nie winien prócz mojego losu, przeklętego losu, a niemniej to mnie zabija.

Wacław nie czekając dalszego rozwinienia tej sceny przykrej, i czując ją nadto, pomimo nalegań Cesi ażeby pozostał, wziął kapelusz i wyszedł niespokojny.

Jak tylko drzwi zamknął za sobą, Sylwan który więcej udawał rozpaczy niż czuł jej w istocie, wstał chłodny i obrócił się do matki:

— Niechże mi hrabina powie, jak się jej Ewelka podobała. Cudna! nie prawdaż? anielska istota!

— Bardzo przystojna! — odpowiedziała matka myśląc w duchu, że sama niegdyś była daleko piękniejszą.

— Przystojna? — spytał Sylwan.

— Nawet ładna — dorzuciła Cesia — ale to coś sentymentalnego, rozpłakanego.

— A ojciec? a ton ich? a wychowanie? a sposób życia? — począł Sylwan — o milę widać w nich ludzi najlepszego towarzystwa!

— Cóż z tego wszystkiego, kiedy ci tak Wacław popsuł całe staranie! — przerwała matka. — O! ten Wacław, to zły duch naszej rodziny! Niedarmom, niedarmom czuła zawsze jakiś instynktowy wstręt do niego, wszystkie nasze nieszczęścia od niego się poczęły i z nim jakiś mają związek.

Cesia westchnęła tylko, a Sylwan zawołał:

— Ja go zaraz na wieś wyprawię, niech jedzie, niech się żeni ze swoją Franią, niech będzie szczęśliwy,

ale niechże mi nie psuje!

— Nie ma potrzeby — odezwała się Cesia — on tam więcej nie będzie, bądź spokojny; a mógłbyś mu się narazić wypędzając go ztąd, gdy właśnie potrzebować go co chwila możemy.

Sylwan zamilkł, ale chmurne jego czoło okazywało że nie mógł się oswoić z myślą niepowodzenia, i postanowił zwyciężyć lub zginąć.

Przejęty smutkiem Wacław powrócił do swojego mieszkania, rozerwany uczuciami, których sam nie rozumiał. Wspomnienie Frani, drażniący obraz Cesi doskonale kłamiącej zobojętnienie zupełne, smutna postać młodej wdowy ze łzawemi oczyma, mięszały się w jego wyobraźni; Wulka jednak z Franią najczęściej przed serce wracały! Czuł, że tam było niewinne, spokojne, prawdziwe szczęście jego; ale serce ludzkie nienasycone, ale człowiek tak słaby! Wacław już nie miał siły myśleć o jednej narzeczonej i grzeszył wybiegając marzeniami za drogę, którą sobie przyrzekł iść do końca życia. Czując to, rad był jak najprędzej wyjechać z miasta, gdzie go jeszcze interesa nieubłagane zatrzymywały od dnia do dnia, niedozwalając nawet zakreślić chwili wyjazdu; tymczasem z każdą odchodzącą pocztą pisał do rotmistrza, do Frani, do Brzozosi, i nie tykając tego, co go spotykało w Warszawie, spowiadał im się tylko ze swoich uczuć i tęsknoty. Właśnie nad takim długim listem, w którym nic właściwie nie było prócz użaleń i westchnień, zastał go nazajutrz około południa pan baron Hormeyer. Zmieszany Wacław musiał go przyjąć, i nie wiedział jakim powodom przypisać tak spieszne odwiedziny, gdy gość z uśmiechem sam mu się z nich począł tłumaczyć.

— Darujesz mi pan natręctwo moje — rzekł z wymuszoną grzecznością — ale jestem ojcem, nie mogę obojętnie patrzeć na łzy córki; a gdy mi się nastręcza sposobność ulżenia jej strapieniu, wszystkich szukam środków, bym to uczynił.

— Mój brat — przerwał spiesznie Wacław — mówił mi już, jak dziwne podobieństwo rysów zjednało mi niezasłużone u państwa przyjęcie; mówił mi także o życzeniu pana barona, ażebym przytomnością moją nie rozraniał serca biednej córki jego: bądź pan pewien, że się do niego zastosuję.

— Kto panu to mówił? — zapytał baron z uśmiechem dziwnym — hrabia Sylwan? Zapewne miał w tem powody jakieś, ale na Boga, ja się wcale przeciwnego domagam. Dla niej, dla biednej Eweliny jest to uspokajającem lekarstwem, widzieć żywem przynajmniej to, co pogrzebła i opłakała: łudzi się, ale pociesza. Ja właśnie chciałem pana prosić, żebyś nas często odwiedzał, bo to dla niej jałmużna.

— Panie baronie, jest to traf tak dziwny — po chwili zawołał Wacław — że na ten wypadek nie ma w prawidłach pospolitego życia żadnej formy gotowej. W istocie położenie moje nadzwyczaj przykrem się staje, a może niebezpiecznem, a ludzie....

— Ludzie niech mówią co chcą — odezwał się baron — to mnie ani ziębi, ni grzeje. Ewelina zarówno jak ja pogardza opinią ludzi: sercu ojcowskiemu chodzi choć o chwilę jej spokoju.

— Zdaje mi się — dodał Wacław — że tego spokoju innąby drogą szukać potrzeba, nie odświeżając uczucia, którego przeznaczeniem jest zamrzeć, lub inny przybrać kierunek.

— Właśnie od pana oczekuję, żebyś o tem Ewelkę przekonał — rzekł baron. — Masz pan nad nią władzę wielką, skutkiem wielkiego i szczęśliwego może dla nas trafu: możesz jej umysłem i uczuciem pokierować. Z oczu, z ust pańskich wieje zacność i szczerość, dlatego otwarcie mówię i gorąco go proszę. Nie zechcesz korzystać z naszego nieszczęścia, gdy mu zaradzić nie możesz.

— Dziękuję panu baronowi — odparł spiesznie Wacław — ale nie na wiele podobno przydam się państwu, jestem przejazdem w mieście, na krótko, obowiązki powołują mnie do domu.

— Z każdego dnia skorzystać można — przynaglał baron biorąc za rękę Wacława — nie odmawiaj pan, nie odmawiaj.

— Śmiesznieby było, gdybym z taką małą drożył się posługą; ale mój brat....

— A! dobrze że o tem mówimy — począł baron — hrabia Sylwan widocznie ma zamiar starania się o Ewelinę, muszę o niego pana zapytać. Choć brat, czuję, że mi powiesz szczerze, otwarcie.

— Nic panu o nim nie powiem — szybko zawołał Wacław — i proszę nie badaj mnie o to: ani źle, ani dobrze powiedzieć nie mogę, z ust moich jedno i drugie podejrzanemby było. Są ludzie, którzy lepiej daleko odemnie go objaśnią. Uwolń mnie pan od tak przykrego dla mnie obowiązku.

Baron doskonale zrozumiał widać, że Wacław nic nie miał dobrego do powiedzenia, skłonił się i zamilkł.

Wacław wyglądał tylko końca odwiedzin, niespokojny i podrażniony; gdy gość nagle wstawszy zbliżył się do niego z nową prośbą:

— Pojedź pan ze mną na chwilę do Eweliny, na chwilę, tylko na chwilę, ona mnie po to przysłała.

Chciał się wymawiać Wacław, ale smutna twarz ojca ujęła go wyrazem uczucia: zesłabł, dał się nakłonić, ubrał żywo i zabrał się z baronem.

W ulicy już spotkali Sylwana z Cesią powracających ze sklepów; mignęło się im to zjawisko, ale w twarzy brata ujrzał Wacław taki gniew i zdziwienie, że zabolał nad nim. Baron starał się go rozweselić, rozruszać i nie przestawał żywych opowiadań, które w istocie w innej porze i okolicznościach mocnoby zająć mogły.

W salonie już na nich oczekiwała, żywo się przechadzając Ewelina; wzrokiem wdzięcznym powitała Wacława i znać było, że walczyła z sobą, by naprzeciw niemu nie poskoczyć, by się nie dać uwieść łudzącemu podobieństwu, które ku niej niepowrotną przeszłość przyniosło. Wacław zarumieniony cały, uczuł potrzebę postawienia się odrazu na stopie pewnej, na stanowisku właściwszem, i począł rozmowę od podziękowania za uprzedzającą grzeczność, na którą niczem nie zasłużył, będąc ją winien tylko dziwacznemu trafowi losu.

Ewelina rozpłakała się, biorąc jego rękę w drżące dłonie.

— A! panie! daruj — zawołała — dziecku pieszczonemu, w którego serce za trochę jaśniejszych dni tyle uderzyło ciosów; daruj że wyciąga ręce ku tobie! Jam tak biedna a tak nie umiem oswoić się z nieszczęściem mojem!

— Wolno mi z panią być szczerym? — rzekł Wacław — na cóż szukać szczęścia w złudzeniu, oszukując siebie, by jutro boleć mocniej i na nowo?

— O! to jego słowa! to dźwięk jego mowy! to on! —

zawołała zakrywając oczy Ewelina. — Mów pan, mów, niech cię jeszcze posłyszę; więc nie umarłeś, więc nie porzuciłeś mnie na zawsze... Żyjesz... wróciłeś i nie rozstaniemy się więcej?

Wacław zamilkł, położenie jego stawało się co chwila trudniejszem, serce ściskało uczucie boleści, nie wiedział co powiedzieć.

— Możeż być na świecie dwóch tak do siebie podobnych ludzi? — mówiła Ewelina — dwóch braci rodzonych? A! to okropne! I ta twarz, i ten człowiek miałby mi być obcym? szaleję!

Odkryła oczy, spojrzała znowu, opuściła ręce, dodając słabym głosem:

— Tak, to on!

Wacław męczył się okrutnie, widać było boleść na jego twarzy. Spostrzegła się młoda wdowa i zmieniła z wielkiem wysileniem ton, mowę i wyraz swych oczu.

— Przepraszam pana — rzekła chłodniej — nie jestem panią siebie, a straszną mi próbę los zgotował; już byłam trochę oswojona z nieszczęściem mojem; wszystko odżyło na nowo.

— Trzeba zapomnieć — odezwał się Wacław — za chwilę kłamanego szczęścia, zapłacisz pani nowem cierpieniem. Nie ma boleści bez lekarstwa; wszystkie rany goi czas, modlitwa i rezygnacja: potrzeba walczyć z sobą i zwyciężyć siebie.

— Modlić się nie umiem, rezygnacji nie pojmuję, walka z sobą niepodobieństwem jest dla mnie, zwycięstwo śmierć mi przyniesie, jam słabsza od dziecięcia.

— Trzeba się modlić! — rzekł Wacław.

— Alboż Bóg zajmuje się naszym światem lichym, w którym los tylko i ślepe panują trafy?

Wacław zadziwił się, postrzegłszy w kobiecie taką nieświadomość religijną, wyobrażenia tak fałszywe; chciał się sprzeciwić i wskazać jej jak się myliła, ale Ewelina dodała:

— Znasz pan Wiedeń?

— Ja? nigdy nie wyjeżdżałem z kraju!

— Ani okolic Wiednia, ani Wiednia, nic nie zna! A tam tak pięknie, tak wesoło! A! to jedno miejsce na świecie, gdzie szczęśliwym być można.

— Bo to twój kraj rodzinny, pani, a nam tak miła wieś, lasy i szerokie pola nasze, żebyśmy ich na Prater nie zamienili.

Ewelina zamyśliła się.

— Pan musisz lubić muzykę? — zawołała nagle — pan jesteś muzykiem?

— Kto o tem mówił pani?

— Nikt, ale on lubił muzykę, ale on był artystą. A! — zawołała otwierając fortepian — pozwól mi marzyć, pozwól się łudzić, dziś tylko, dziś, jeden dzień jeszcze; tylko jutro... tylko... ulituj się nad biedną, nie patrz na to co się z nią dzieje. Wszak grasz Nokturno Chopina, wszak umiesz co z Beethowen'a? wszak mi nie pożałujesz jałmużny trochy dźwięku i trochy szczęścia?

I spojrzała nań tak błagająco załzawionemi oczyma, że Wacław uczuł łzę pod powieką, zbliżył się do fortepianu, usiadł i nie patrząc na nią, zadumany głęboko, puścił ręce po klawiszach. Ewelina odbiegła trochę, padła na kanapę, zakryła oczy i płacząc słuchała. Baron w ciągu tej sceny niewidziany stał we drzwiach gabinetu.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.